

PARADA



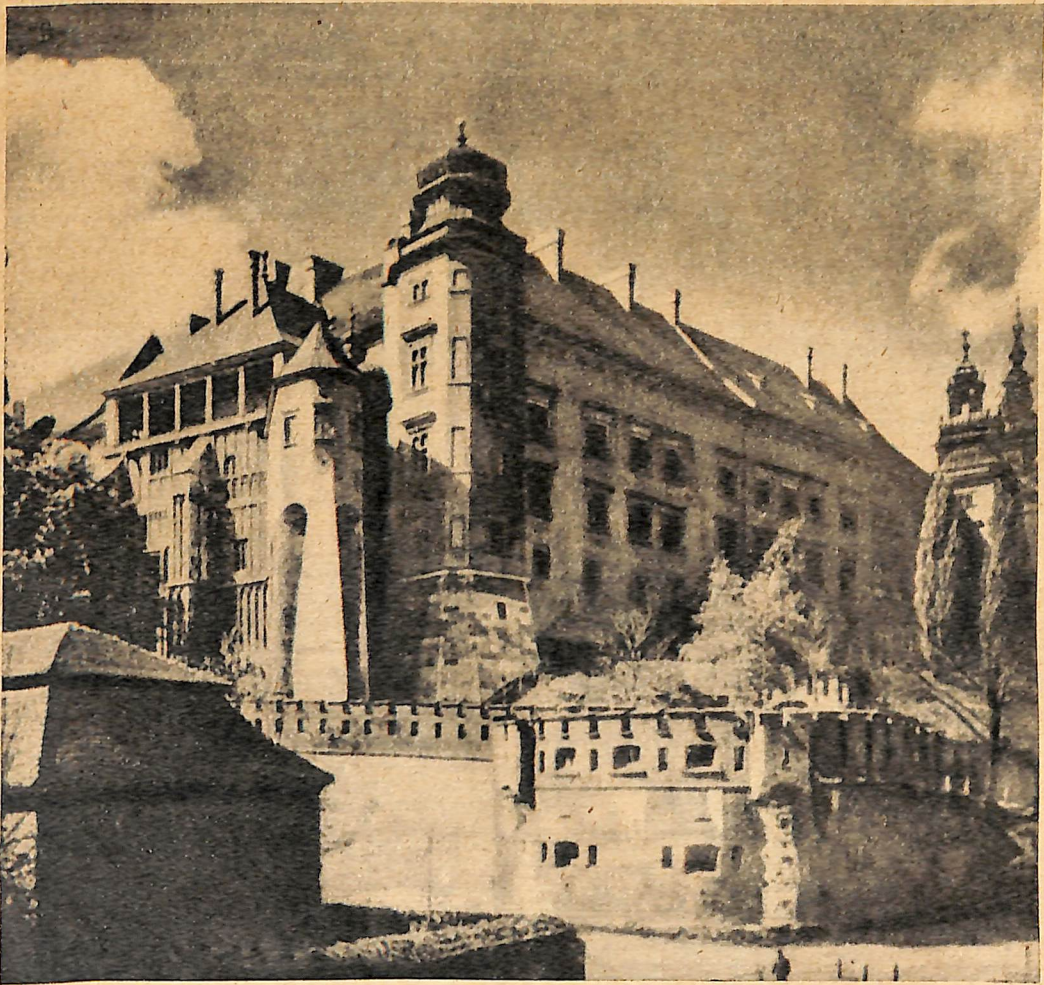
ROK II

NIEDZIELA, 5 LISTOPADA 1944 R.
SUNDAY, NOVEMBER 5, 1944

Nr 22 (41)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów

WAWEL

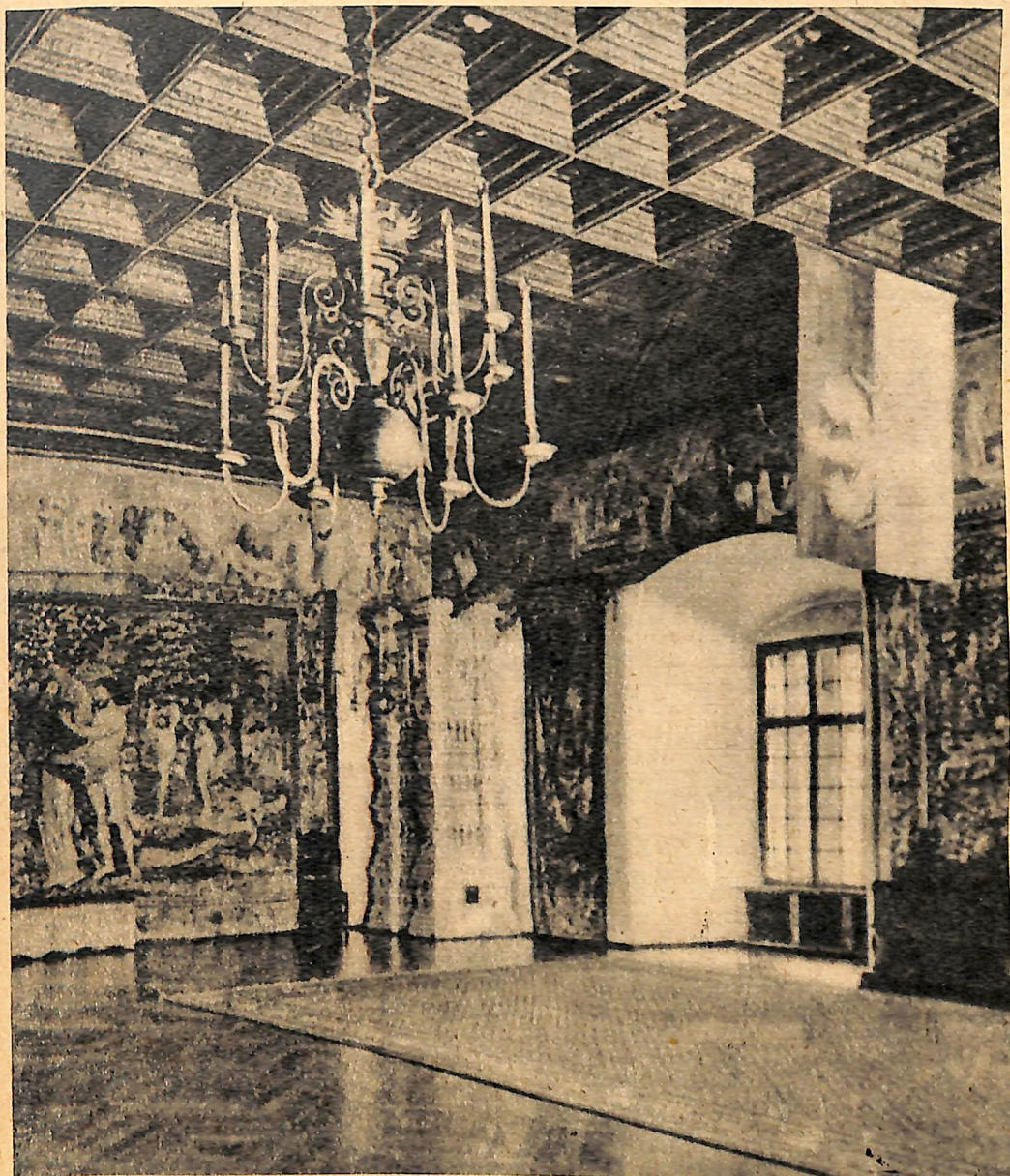


Zamek wawelski od północnego wschodu

Wawel się ostał. Groby Królów i wieki naszej historii. Królewski Zamek nad Wisłą i wzgórze, które legendą wiąże się z zamierczłymi dziejami naszego narodu. Tu tworzył się zarys państwowości polskiej, tu zrodziła się jagiellońska myśl federacyjna tu, był czas, było główne centrum polityczne Środkowo-wschodniej Europy i najważniejsze w tej części kontynentu ognisko kultury i myśli zachodniej.

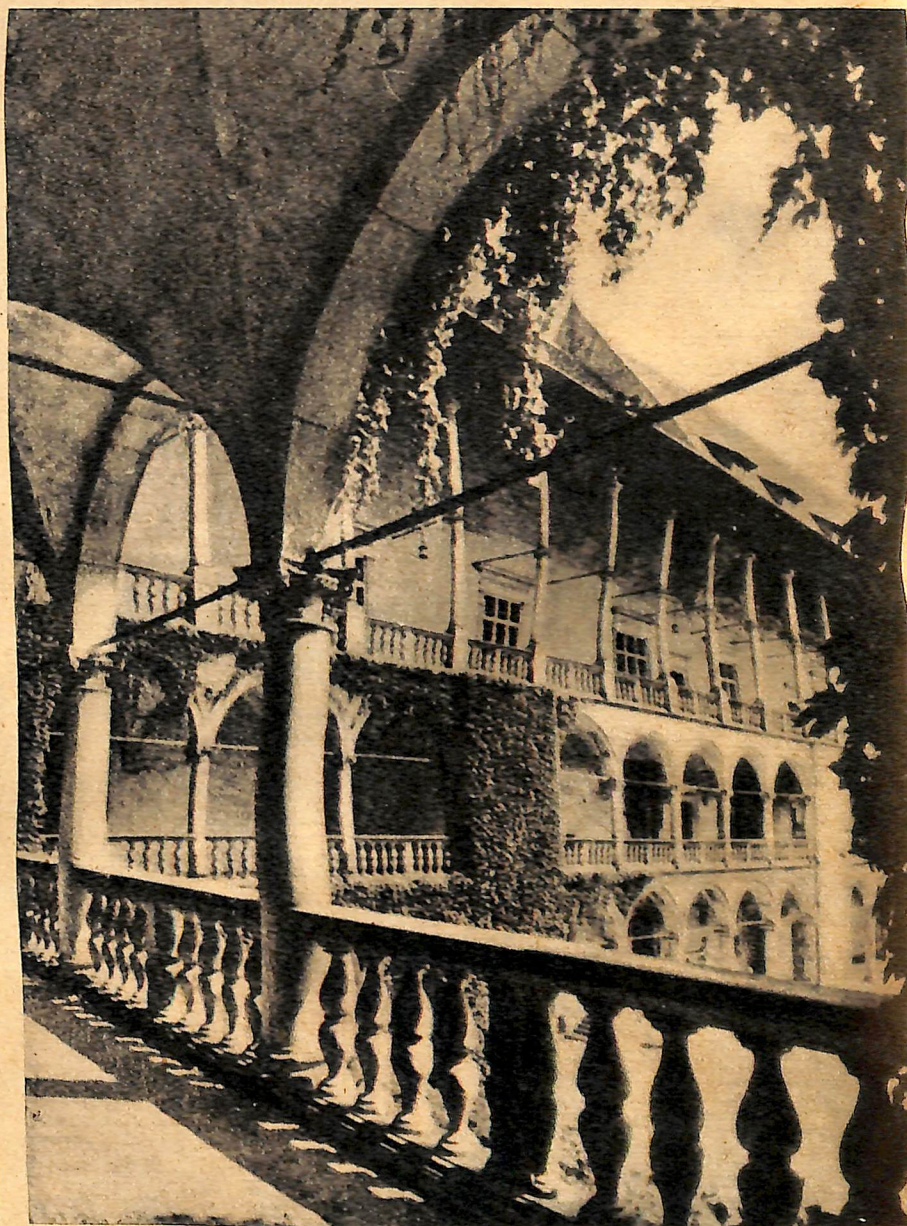
Wawel jest symbolem ciągłości tradycji. To nie bizantyjskie kopuły, ale rytm sztuki włoskiej, łacińskiej mówi do nas z krużganków wawelskiego podwórca. Polska kwitła, gdy silną była na Wschodzie, a twarzą zwrócona była ku Zachodowi. Taka musi nadal pozostać.

Sala „pod głowami”



Katedra

Fragment krużganków i dziedzińca



Niebem na drugi brzeg Renu

MAREK ŚWIĘCICKI — Korespondent wojenny przy Polskiej Brygadzie Spadochronowej

Na stole pali się wąż lampa naftowa, holenderska rodzina płacze się po kuchni, za oknami leje jesienny deszcz. Ziemia od czasu do czasu drga od wybuchów: artyleria nie zna nocy i odpoczynku.

Jeszcze wczoraj było światło elektryczne, ale dziś Niemcy widocznie obrazili się na nas i wyłączyli prąd — elektrownia znajduje się po niemieckiej stronie frontu.

Brygada Spadochronowa odpoczywa. Jest to zresztą odpoczynek dość względny, wywołany nie tyle przez nasze położenie geograficzne — dokoła nas są linie nieprzyjacielskiej obrony — ile przez chwilową ciszę i przerwę w działaniach. Brygada odpoczywa i zestawia bilans swej działalności pod Arnhem. Jest to zestawienie zaprawione sporą dozą gorzkości.

Przypominam sobie, jak jeden z brytyjskich korespondentów wojennych, w piwnicy oblężonego hotelu w Hartenstein, gdzie było dowództwo Airborne Division, zwierzał mi się w chwilach grozy:

— Jeśli tylko Polacy tu przybędą, aby nam pomóc, na zawsze pozostaną przyjaciółmi Polaków.

Polacy wprawdzie przybyli, lecz podobno korespondent nie powrócił. Nie widziałem go w Nijmegen i porokrotnie słyszałem, że pozostał „tam”, tzn. w najlepszym razie w niewoli.

Inne zdania też sobie przypominam, ale to było już tak dawno — co najmniej przed tygodniem, gdy sytuacja była również najzwyklejszą.

— O, żeby Polacy przylecieli — wzdychano.



D-ca Polskiej Brygady Spadochronowej, która wzięła udział w desancie w Holandii

Zdobycie miasta Thiel w Belgii

Polacy przylatywali pod Arnhem niejako na raty.

Najpierw, w poniedziałek, 18 września przyleciała część artylerii przeciwpancernej, dwie radiostacje, dwóch oficerów łącznikowych do sztabu Airborne Division i jeden korespondent wojenny, czyli po prostu ja. Przylecieliśmy w warunkach wycieczkowo-krajoznawczych: trochę tylko gniewała się na nas po drodze artyleria przeciwlotnicza i bardzo anemicznie strzelał ktoś zza krzaków, kiedy nasze szybowce grzecznie i spokojnie siadały na ziemi. Słońce sympatycznie grzało, kilku żołnierzy niemieckich (wśród nich gen. Kussin, dowódca okręgu Arnhem), śpiących snem wiecznym przy szosie, wyglądało bardzo kapitulacyjnie, nasz sztab dyszał optymizmem.

— Jutro zapewne będziemy w Arnhem — przepowiadano powszechnie.

— Po co się pan tak męczy? — zapy-

tałem ironicznie podchorążego P., który kopał opodal dowództwa solidny rów strzelecki. — Mam świetny pokój w tym domu. Jeszcze parę materaców i będziemy mogli spać razem.

— Może i ten dół na coś się przyda — odpowiedział flegmatycznie podchorąży. Oj, przydał się i to znacznie szybciej, niż przypuszczałem.

Następnego dnia przyleciał rzut szybowcowy naszej Brygady Spadochronowej. Przyleciał, lecz niewielu ludzi z jego składu dołączyło do nas. I niewiele dział przeciwpancernych udało się wyciągnąć z szybowców...

Idziemy na spotkanie naszej Brygady. Miała wylądować wczoraj — nie przyleciała. Może przyleci dziś.

— Uważajcie na sniperów! — ostrzegają nas w dowództwie — Przy wyjściu z lasu



W numerze:

ARTYKUŁ POLITYCZNY

Europa kompromisu — *Juliusz Mieszewski*

REPORTAŻE WOJENNE:

Z Holandii: O walkach Polskiej Brygady Spadochronowej — *Marek Święcicki*

Z Włoch: Carrier pierwszej linii — *Władysław Choma*

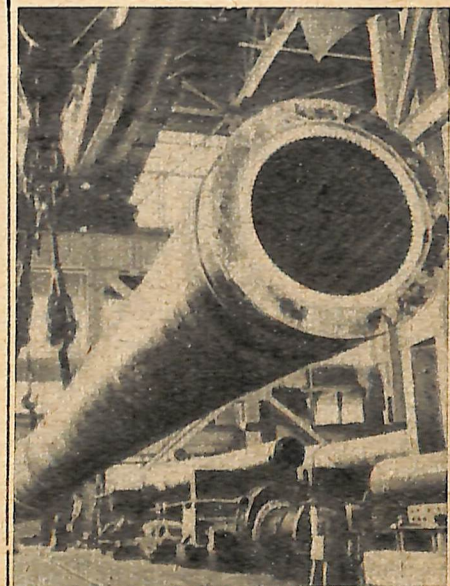
Z Pacyfiku: Inwazja Filipin — *(U. S. Office of War Information)*

FELIETON NAUKOWY

Witaminy — *Charlotte M. Wood*

PRZEGLĄD PRASY

NASZA OKŁADKA



Paszczka 16-calowego działka okrętowego
Fot.: U. S. Office of War Information



Ładowanie amunicji

na główną drogę jest paru i kilka razy już naszych przygrzali.

Uważamy i to bardzo dokładnie. Dużym łukiem okrążamy podejrzaną miejscę, a potem — skok przez drogę. Za nami trzaskają kule, na szczęście zapóźno. Poprzez ogrody i jakieś opłotki dochodzimy do jednej z baterii Royal Artillery. I w tej właśnie chwili zaczynają walić moździerze. Jak to one: z nagłą, nieprzytomnie, piorunem. Momentalnie kościół, odległy o jakieś 100 jardów od nas, zapala się i wypuszcza ze swego wnętrza kłęby dymu. Nasza artyleria odpowiada — jest to jednak bardzo nierówna dyskusja. Ich stanowiska otoczyły nas ze wszystkich stron. Są obok nas i są nad nami, mogą strzelać jak chcą. Kulimy się przy domach, dopadamy do dowództwa baterii, a tu jak nie trzaśnie. Niedaleko, parę jardów.

Schodzimy do piwnicy, gdzie pracuje dowództwo baterii.

— Wasza Brygada dziś nie przyleci — mówią nam. — Lot odroczone o jedną dobę z powodu złej pogody. Wracajcie. Wracamy.

Niezbýt gościnnie powitała ziemia holenderska naszych spadochroniarzy, lądujących w czwartek, dnia 21 września. Po ostrzegawczym warknięciu artylerii, zagwizdały moździerze i zajazgotały karabiny maszynowe.

Ogień z lewej, ogień z prawej. Zmienne losy wojny sprawiły, że polska brygada lądowała w zupełnie innych warunkach, niż przewidywały plany i założenia. Miała lądować w chwili, gdy most na Renie, na przedmieściach Arnhem powinien się już znajdować w naszych rękach, miała natychmiast połączyć się z Airborne Division i wraz z nią wyjść do decydującego natarcia.

Ale jak?
Gen. St. Sosabowski, dowódca Brygady Spadochronowej, podciąga pod osłoną nocy oddziały do rzeki. Patrole szukają przeprawy. Nie, nie ma nic. Prom zniszczony i pod ogniem niemieckich dział. Jakichkolwiek łódek ani śladu. Brodu też nie ma. I nie ma łączności. Po obu stronach rzeki męczą się cierpliwie radiotelegrafici przy aparatach, nie przestają wołać, nie pomina żadnej fali — wszystko bez skutku. W słuchawkach przewalają się gwizdy, syki, piski i od czasu do czasu ostrzegawcze:

— Achtung. Achtung. Achtung.
— A za chwilę bomba.

— Panie generale — melduje jeden z oficerów — natarcie niemieckie wychodzi na nas z północo-wschodu.

— Przygotować się do przeciwuderzenia — decyduje generał.

Parę kompanii wychodzi z za wału naderzeczego.

Za północnej strony Renu nie ustają detonacje, palą się domy, tu i ówdzie płonie las. Airborne Division pod ostrzałem artylerii i moździerzy stawia rozpaczliwy opór, broni się, nie bacząc na straty. Nawet bez łączności, wiadomo że oczekuje, że prosi, że żąda pomocy.

— Czy jest już łączność z Polakami? — pyta dowódca Airborne Division, generał Urquart.

Odpowiada mu milczenie...

— Czy jest już łączność z Dywizją? — pyta na południowym brzegu Renu generał Sosabowski.

Odpowiada mu milczenie...

Łączności nie ma.

Dowódca Polskiej Brygady znowu pochyla się nad mapą. I wtedy właśnie następuje scena, jakby żywcem wyjęta z pożółkłych kart „Ogniem i mieczem”. Drzwi z nagłą się otwierają i wpełza przez nie, z lekka ślaniając się na nogach dziwna postać, owinięta w siatki maskownicze, obficie ociekająca wodą i błotem.

Oficerowie machinalnie kładą dłoń na rewolwerach. Generał podnosi głowę znad mapy.

— Panie generale, kapitan Ludwik Z. melduje swoje przybycie.

— Skąd się pan wziął?

— Stamtąd. Z Dywizji.

— Jak?

— Przepłynąłem w pław Ren.

— Mów pan, jak tam jest — mruczy generał i odwraca twarz od lampy, aby przypadkiem ktoś z obecnych nie podpatrzył jego wzruszenia.

Kapitan Z. zaczyna tłumaczyć. Łączność jest nawiązana.

Decyzja zapadła: Polacy przeprowadzą się na północny brzeg Renu i wzmocnią obronę brytyjską.

— A co potem? — zapytuje jednego z oficerów sztabu Airborne Division.

Anglik patrzy na mnie bardzo chłodno i bardzo spokojnie.

— Potem nadejdzie zapewne Druga Armia.

— A jak nie nadejdzie?

— Mamy rozkaz utrzymać nasze stanowiska. Czy pan rozumie, czym jest rozkaz dla żołnierzy?

Rozumiem, majorze.

W nocy idzie kilku Polaków oraz piloci Glider'ów z Airborne Division nad rzekę. Mamy spotkać naszych, którzy z południowego brzegu przeprowadzą się na północny i prowadzić ich grupkami na miejsce zbiórki. Nad samą rzeką rozdzielamy się.

— Niech pan pilnuje tego odcinka na lewo, a my pójdziemy trochę dalej. Trudno jest określić z całą pewnością, gdzie wylądują łodzie — mówi do mnie kapitan Alfons M., jeden z polskich oficerów, przydzielonych do Airborne Division.

Noc jest, pomimo późnej pory, zupełnie jasna. Na naszym, północnym brzegu Renu pali się jakaś wioska. Stamtąd strony płonie spory kompleks budynków i widzę wyraźnie, jak zapadają się ściany i dachy. Artyleria pracuje i tu i tam. I ich i nasza. Nie bardzo tylko mogę rozróżnić, czyje pociski w tej chwili truwają nad łąką.

— Nie kłaniaj się pan tak uprzejmie — upominał mnie przed chwilą kapitan M. — To nasza artyleria. Nie ma się czego bać. A poza tym przecież one teraz nie lecą na nas, tylko dużo dalej. Artylerzyści biją się między sobą.

Pomimo oczywistej logiki tych słów kłaniam się pociskom nadal. Po prostu z kilkudniowego przyzwyczajenia.

Poświata od pożarów pada na rzekę, kładąc się na niej szerokimi, jasnymi pasami światła. O 300 jardów w lewo są pozycje niemieckie. O niespełna milę w prawo, również. Za plecami nasze baterie, później stanowiska naszej piechoty, dowództwo Airborne Division i — też Niemcy. Klasyczny worek.

Z tamtej strony rzeki w cieniu dużego wału jest nasza Brygada. Ale gdzieś tam jest także i nieprzyjaciel. Więc — właściwie, jak to będzie?

...Ni stąd, ni zowąd zaczyna rąbać od lewej niemiecki ckm, zupełnie niepotrzebnie. Wiem, że się nie widzą, że niczego się nie spodziewają, że nie oczekują na nic. Nudzą się, dranie, w okopach i urządzają sobie rozrywkę.

Przez rzekę płynie łądź. Widzę ją wyraźnie na jasnym pasie światła, lecz nie słyszę wcale jej ruchu. Wiosła zanurzają się bezszelestnie, łądź sunie, jak przywidzenie, czy zjawą. Po paru minutach łągodne, cichutkie chlupotanie wody przy brzegu mówi o tym, że są. Idziemy razem przez łąkę. Wilgotna ziemia i gęsty deszcz głuszą nasze kroki.

Pierwsza partia Polaków z tamtej strony jest już z nami. Czuję się różnie, ale wiem, na jak mizernych podstawach opiera się mój przelotny optymizm. Ileż zdążą przeprowadzić?

Przeprawili sześćdziesięciu. Nowych sześćdziesięciu ludzi na stanowiskach. Część z nich siedła w okopach mocno przetrzebionej Pierwszej Brygady Brytyjskiej, część poszła na najbardziej zagrożone pozycje Czwartej Brygady. Część uzupełniła „air landing Brigade”, a wszystko razem — garstka. Straszliwie mało w stosunku do potrzeb.

Następnej nocy, z 23 na 24 września, doszło kilka nowych łodzi i przeprowadziło się na północny brzeg Renu ponad 300 żołnierzy Polskiej Brygady Spadochronowej. Równocześnie jednak ruszyło silne niemieckie natarcie i zwięzło jeszcze bardziej „worek” naszej obrony.

Na punkcie sanitarnym, w tej samej piwnicy, gdzie i dowództwo Airborne Division, coraz częściej widzę Polaków. Oto jakiś sierżant, który nie chce oddać sanitariuszowi broni.

— Jakże, proszę pana — tłumaczy mi — mogę tak pozostać bez niczego na wojnie. Niech pan wyjaśni temu facetowi, że dokoła są Niemcy.

„Facetowi” nie trzeba tego „wyjaśniać”, ale „facet” jest uparty. Ranni jadą do szpitala Czerwonego Krzyża. Jest porozumienie z Niemcami, że transport rannych nie będzie zawierał żadnej broni, zatem...

Na południowym brzegu Renu, dokoła miejscowości Driel gen. Sosabowski okopał się i osiadł dość mocno.

— Zrobimy sobie „jeza”, proszę pana — powiedział do swego sztabu — i niech Niemcy spróbują nas ugryźć.

Ważny to „jez” i w tej sytuacji niezmiernie cenny. Nie tylko dlatego, że ugrzyzenie go jest przedsięwzięciem dość ryzykownym. „Jez” nie pozwala zamknąć całkowicie Dywizji brytyjskiej. Jak długo on istnieje, tak długo jest droga odwrotu przez Ren, tak długo są siły niemieckie rozproszone w walce, pochłonięte nie jednym, lecz dwoma workami. Pierwszy z nich — większy — to Airborne Division, drugi — Polska Brygada Spadochronowa. Trzymamy Ren — aby trwać — obustronnie.



Belgowie witają Dywizję



Czołg polski



Jeńcy niemieccy

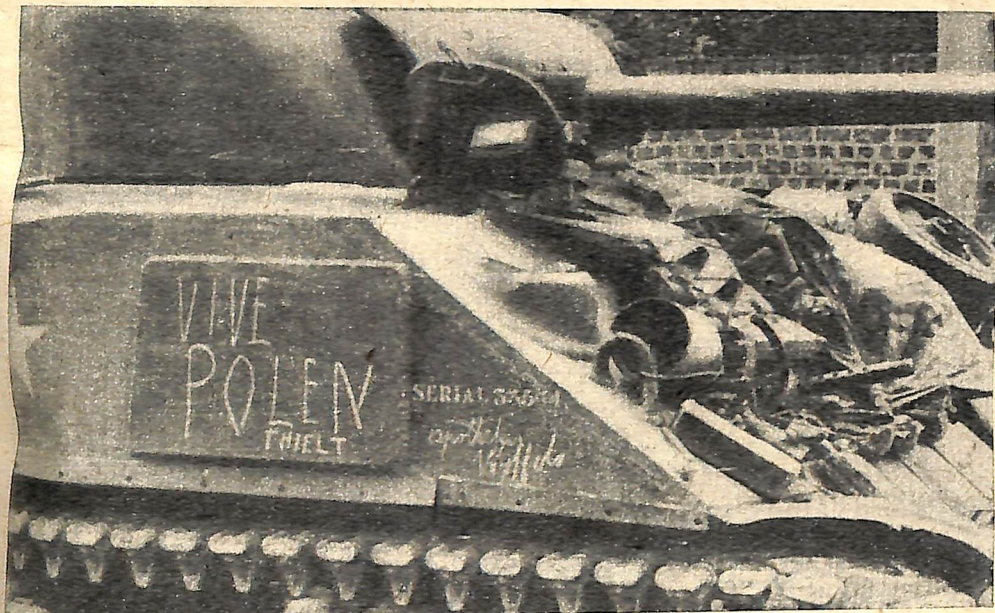
Prócz tego — a może nawet nie prócz tego, lecz przede wszystkim — „jeź” pozwala spokojnie dojść do Renu wysuniętym elementom Drugiej Armii. To, co osiągnęła swym trwaniem i swymi walkami w rejonie Arnhem Airborne Division, to samo, w trochę mniejszej skali, osiąga na południowym brzegu Renu, Polska Brygada.

Niemcy orientują się w sytuacji nieźle i usiłują gryźć „jeża”, jak tylko potrafią. Wnieważ tu mogą operować artylerią, niż przeciwnie stronie rzeki, za to nacierają zaciekle piechotą.

Brygada nie broni się. Brygada kontratakuję. Brygada spycha w kilku punktach Niemców z ich pozycji. Ale sytuacja nie wygląda bynajmniej różowo. Trzystu kilkudziesięciu ludzi i rzut szybowcowy Brygady na tamtym, północnym brzegu. Straty w czasie przelotu. Tu — sporo zabitych i rannych.

W czasie jednego ze szturmów ginie ppor. Ryszard Tice, Amerykanin, ochotnik naszej brygady. Wstąpił on do jej szeregów jeszcze wówczas, gdy USA nie były w wojnie. Odbył skoki, skończył podchorążówkę.

Napis na czołgu polskim, umieszczony przez mieszkańca belgijskiego miasteczka



— Dlaczego nie wracasz do swoich? Dlaczego pozostajesz z nami? — pytało niejednokrotnie Tice'a.

— Z tej samej przyczyny, dla której Polacy bili się o wolność Stanów. Płacę stare długi — odpowiadał...

...Wreszcie, w świetle któregoś tam ranka, wychylają się zza mgły dwa pierwsze czołgi sojusznicze. Są osamotnione, wyrwały się naprzód, a teraz Niemcy odcięli drogę odwrotu...

— Jedźcie drogą na te domy. Wywrzućcie stamtąd Niemców — wydaje pancerniakom rozkaz gen. Sosabowski.

— All right, Sir, ale tam są miny. Ktoś musi nas poprowadzić.

Obok domku stoi mały, damski rower. Generał gramoli się na siodło i wali naprzód.

— Follow me! — woła do pancerniaków. Po kilkunastu godzinach było więcej czołgów. Na drugi dzień południowy brzeg Renu znalazł się na tym odcinku w naszych rękach. I wtedy właśnie została zdecydowana przeprawa Airborne Division z północnego brzegu na południowy.

Polacy, którzy byli na północnym brzegu i przeprawiony tam przedostatniej nocy walk pod Arnhem batalion „Dorsetów”, mieli osłaniać odwrot.

Panek poniedziałkowy, dnia 25 września, powitał nas względną ciszą. Tak na

Panek poniedziałkowy, dnia 25 września, powitał nas względną ciszą. Tak na

ucho licząc (a uszy w owym czasie mieliśmy już bardzo wytrenowane) może najwyższej dwie baterie w nas łupły i kilka moździerzy. Paru sniper'ów, którzy z samego środka naszych pozycji od kilkunastu godzin walili w dowództwo, zlikwidowano w ciągu nocy. Obręcz wyraźnie zelała.

— Going to be nice — mówi do mnie Bruce Davis.

— Zdaje się, że już teraz będzie „fajno” — pomrukuje któryś z Polaków.

— Śmiałybym się — powiadam — gdyby Niemcy wywachali nasze plany i przygotowali ogień na noc.

Śmiałybym się... Wiele godzin musiało minąć od tej nocy, zanim znowu potrafiłem się śmiać.

Była godzina 10 wieczór, gdy wypadliśmy z dowództwa Dywizji w las. Oślepiła nas jasność. Cały las płonął. Drzewa waliły się obok nas, sypiąc iskrami, pociski i gwizdały i warczały i jęczały, nie było chyba odgłosu, jakiego tej nocy nie wydawałby ogień niemiecki. Pod ogniem żołnierze Dywizji. Małe grupki bezbronnej ludzkiej, którzy powinni byli, którzy musieli — według Niemców — pozostać

w tym lesie na zawsze. Ludzi, których jedynym uczuciem powinien być w czasie tej okropnej nocy strach,

Nie było jednak strachu i nie było paniki.

Dopóki jeszcze idziemy — można wytrzymać. Ruch połamane gałęzie pod nogami, cała uwaga skupiona na tym, aby — broń Boże — nie upaść.

Jest piekło. Piekło, które trudno opisać i które do dziś przeżywa się za każdym wspomnieniem...

Nad samym brzegiem ogień jest jeszcze silniejszy i setki ludzi czekających na swoją kolej w łódkach.

— Queue is here — mówi spokojnie jakiś Glider pilot. A w ogóle piloci Glider'ów są naszą Żelazną Gwardią.

— Dont panic, dont panic — powtarzają i osiągają magiczny skutek.

Pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu jest idealny porządek.

Na tamtym brzegu wypęlam z łódki, gramolę się na wał i idę szukać Polskiej Brygady. Po dwóch milach spotykam polskiego żołnierza.

— Gdzie jest nasze dowództwo? — pytam.

— Przed dwoma godzinami było tu — wskazuje na rozwalony i jeszcze płonący dom — gdzie jest teraz, nie wiem.

...Na drugi dzień, w czasie spaceru w popołudniowym słońcu Nijmegen zaczepia mnie angielski żandarm.

— Do you speak Polish? — pyta — Bo tu jest ktoś, kto twierdzi, że należy do waszej brygady. Siedzi w naszym jeep'ie.

Podchodzę do jeep'a, jakiś osobnik w cywilnych, aksamitnych spodniach i równie cywilnej, kolorowej koszuli, bosi, lecz za to owinięty litościwie przez wojsko w gruby koc, patrzy na mnie cokolwiek zaleknionym wzrokiem.

— Jest pan Polakiem?

— Tak. Byłem w osłonie odwrotu. O godz. 10 rano już nie było łódek. Zza domów wyjechały niemieckie czołgi i parły na nas. Reszta, tych kilkudziesięciu, którzy nie zdążyli się przepawić, musieli wywiesić białą chorągiew. A ja skoczyłem do wody i jakoś przepłynąłem. Cywile trochę przebrali, bo byłem przemoknięty, jak to się mówi, do kości.

— Czy to jest naprawdę Polak? Czy to jest naprawdę żołnierz? — pyta się podejrzliwie brytyjski żandarm.

— Naprawdę — odpowiadam wolno. — Ten człowiek jest prawdziwym żołnierzem Polskiej Brygady Spadochronowej.

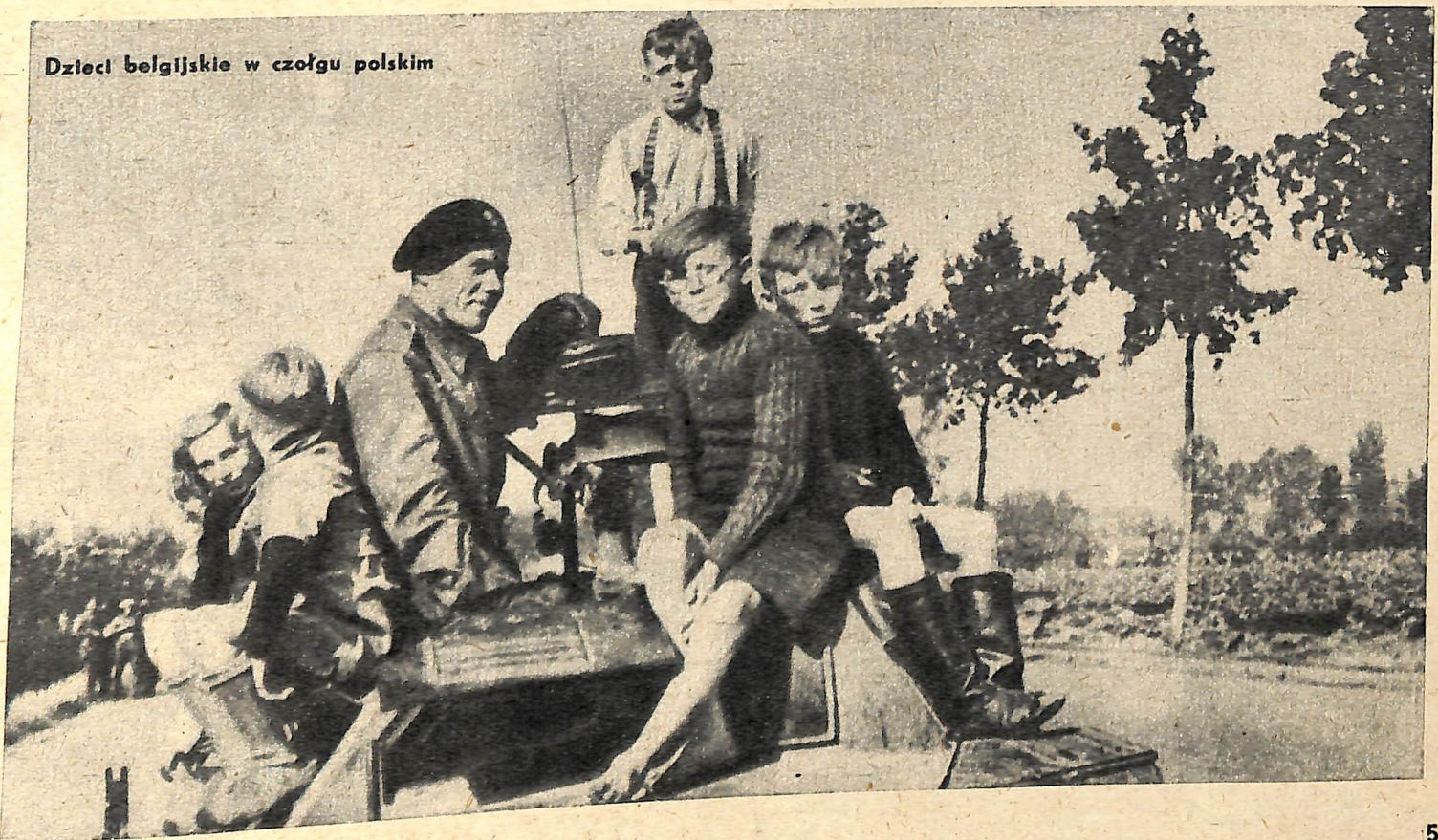
Odprawa przed działaniami



Na ulicy w Loofenhulle

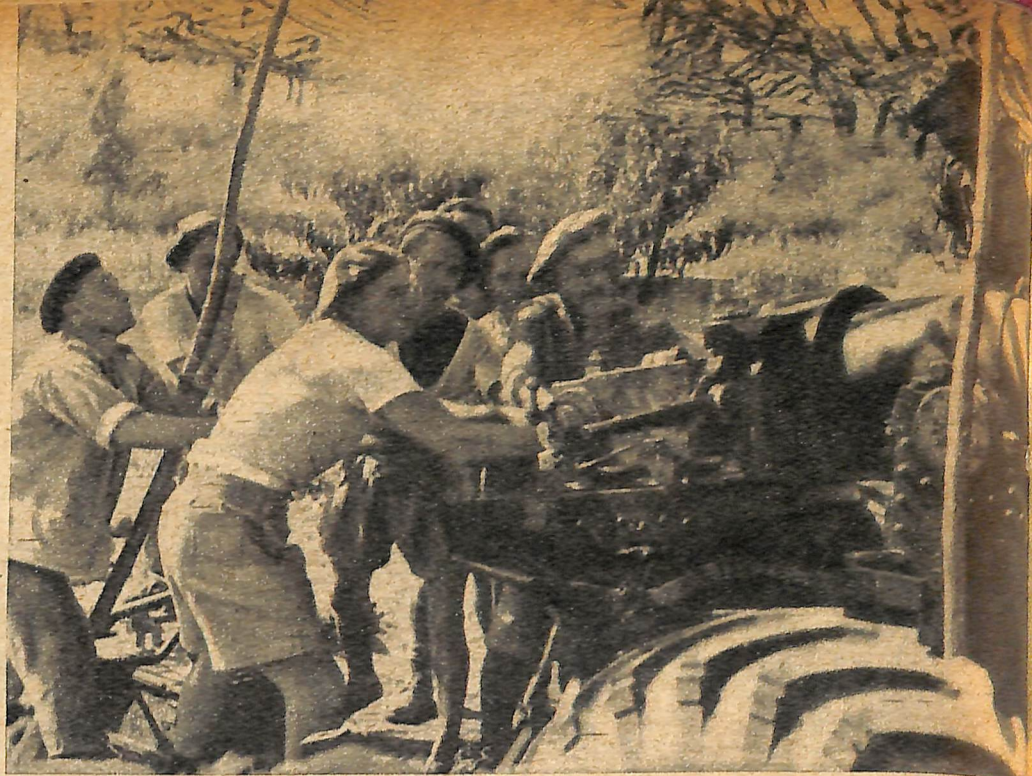


Dzieci belgijskie w czołgu polskim





Współczesne Włochy: ruiny z przed wieków, czy z przed kilku dni?



Na pozycji ciężkiej artylerii

CARRIER PIERWSZEJ LINII

Stosunki moje ze Zbyskiem bywały różne i trochę dziwne. Od roku 1940 długi czas byliśmy kolegami wojskowymi, a różnicę wieku (1902 i 1926) wykorzystywałem w ten sposób, że kiedy na dobre rady i uwagi Zbyszek reagował nie po mojej myśli, dawałem się czasem unieść zdenerwowaniu i korzystałem z rzekomych uprawnień starszych, kończąc naszą rozmowę zdaniem: „Głupi jesteś!”. Jednak przy najbliższej sposobności znowu przyjaźnie gawędziliśmy i Zbyszek udawał, że moje racje przekonywują go, ja zaś praw starszeństwa nie nadużywałem.

Kiedy dowiedziałem się że, carrier Zbyszka wyleciał na minie pod Cesano i z całej załogi on jeden miał wyjść cało, nie miałem spokoju zanim naocznie nie przekonałem się, że żyje. Uśmiechnął się, śmiać się musiałem i ja widząc, jak wygląda. Przypominał rzeczywiście straszdyło na wróble. Na ubraniu było jeszcze pełno błota, „gęba podrapana, włosy jak badyle”, a dół kompletnie podbite oko. Szedł też bardziej niezgrabnie, niż zwykle.



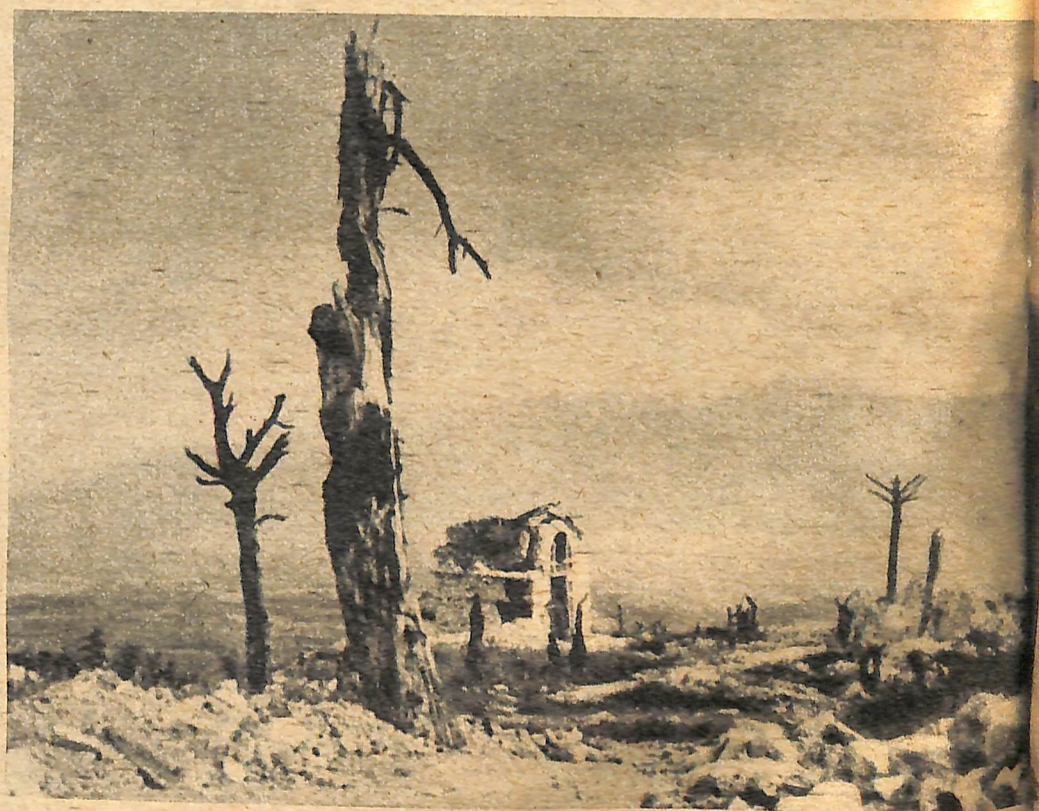
Carrier wyrusza na patrol

— Co się z tobą Zbyszku dzieje? Podobno trenujesz spadochroniarstwo, tylko zamiast spadać z góry, lecisz do nieba. Co za kawały wyprawiasz?

— Kawał to był ładny, szkoda jednak, że takich morowych chłopaków w ewidencji przesunęli już do św. Piotra. I to tak niespodziewanie. Kręciliśmy się kariatkami nad rzeką, niby tak dla prowokacji, aby Niemcy strzelali i zdradzili, gdzie są pochowani. Szwabska artyleria napędzała ludziom strachu, potem zaczęły przeraźliwie jęczeć nad głową ppance, ale strzelali górami i nic nam nie zrobili, był jednak ruch w interesie. Przy tej sposobności dostał odłamkiem sierżant Trzas. Zawsze mówiłem, że w kariokach są najmorowsze chłopaki, ale Trzas., to jeszcze morowszy. Wszędzie łąził, nic się nie bał. Pierwszy raz był ranny w Libii, pod Cassino był drugi raz ranny, trzeci raz pod wieżą (Semi-gallia), ale teraz przygwoździli go na fest. Kawał żelaza w pierś dostał. Powieźli faceta do szpitala, ale on mocny chłop i powinien wytrzymać.

Gdy powiedziałem Zbyszowski, że sam

Działo p-lot



Buldozer równa drogi, zasypuje wyrwy — pracuje za setki rąk



Tędy przeszła nawała...

zawiozłem Trzas. do W. P. O. i lekarz powiedział, że sierżant będzie żył, zasłaniała się chłopcu gęba.

— To klawo! Wiwat kariokil! — zawołał i urwał...

— Jak to wszystko było? — zapytałem nieśmiało.

— Gdy Trzas. dostał, kapujemy, że zaczynają i nas macać, więc się trochę denerwujemy, czyli niepokoimy. Na rzece i na drugim brzegu saperzy rozbijają miny, to już teraz rozumiemy, że kiedy przeszukają drogę, położą taśmę, wtedy pójdzie rozpoznanie, to jest my. Mieliliśmy trochę piętka, bo ppance, to cholerycznie paskudna rzecz, a wiemy, że tam są, no bo przecież strzelają. I są niedaleko, bo na ile on może tak na „sicher” strzelać? Powiedzmy, że 1500 m, a gdy przejdziemy przez rzekę, to będzie bliżej. Droga śliska, błoto, hamulce mokre, ani dobrze skręcić, ani zawrócić maszyną. Dziwne, ja takie rozpoznawanie lubię jak cholera, ale wtedy mi się to nie uśmiechało. Gołębiowski coś przeczuwał. Kiedy przyszedł rozkaz, że nasze dwa karioki mają iść za rzekę powiedział: „Tak mi się coś zdaje, że dziś będzie koniec mojej wojaczki. Ale rozkaz, to rozkaz. Nasypali piasku!”. A mnie za siebie kazał wziąć papierosy. Tak, wszystko wiedział, Przez rzekę przepawiliśmy się dobrze. Leżał tam rozbity czołg niemiecki i jakiś szwab spalony na amen. Tak sobie człowiek pomyślał jak nas trafi ppance, to wnet będziemy robić konkurencję temu Niemcowi. Ale to nic. Saperzy powiadają, że kawałek drogi rozminowali, ale na 102 ręczyć nie mogą. Tak kombinuję, że może min nie będzie, tylko te ppance nie dawały mi spokoju. Pierwszy jechał szef Szczyr. — także morowy facet. Nie wysłał nas na przód, tylko sam. On zawsze tak robi. Na dróże widać ślady niemieckich gąsienic, więc staramy się jechać po nich, zawsze to pewniejsze. Ja mam rkm. Maszynka nasmarowana, magazynek sztywny, to człowiek tylko patrzy po krzakach, aby jak jakiemu Niemcowi gruchnąć. Już zdawało się, że wszystko będzie dobrze. Ujechaliśmy ze sto metrów za rzekę, a tu jak huknie... Co za huk! Jakby 10 armat równocześnie wystrzeliło. Właściwie nawet nie wiem, jak się to stało. Nie pamiętam jak było. Niby nie straciłem przytomności, ale nie wiem, co się ze mną działo. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że leżę w jakimś leju,



Nadszedł transport z żywnością

w błocie. Ręką, nogą ruszam, macam głowę — cała, wszystko funkcjonuje, to znaczy — żyję. Dobrze jest. Zaraz pomyślałem sobie, że to ppance tak nas przerobiły. Tak mi się to świństwo wbiło w głowę. Ale potem myślałem, że jeżeli ppance, to skąd ja w rowie i gdzie kariok. Wszystko mi się tak dziwnie pomieszało w głowie, że nawet nie wiedziałem, w którą stronę wyłaź z błota. Wtedy żeby mnie pan widział. Powiadam: mumia. Maska w błocie, drelichy jak ulakierowane. Wyłaż na drogę i widzę, że kariok rozbity, całkiem zwichrowany w rowie. Gołębiowski nieżywy! Kozłowski nie ma, Berbeki też. Mój rkm leży na boku cały. Zaraz go zabra-

łem, bo myślałem, że w krzakach siedzą Niemcy. Tak mi te ppance wlażyły do łba. Widzę, że szef Szczyr. wyszedł z carriera i idzie do mnie. Teraz trochę zrozumiałem. Dziura na drodze, to znaczy wyskoczyliśmy na minie. Tylko jak to mogło się stać? Jechaliśmy śladami szefa, on cały, a my do Bozi. Berbeka żył i był ranny. Mógł trochę iść, więc trzeba było go prowadzić do rzeki. Artyleria wciąż strzelała, ale mnie to nie obchodziło. Dostałem jakiegoś bzika. Przedem ciągle myślałem o ppancach, teraz znowu miny nie dawały mi spokoju. Co krok, to mi się zdawało, że mina. A już najgorzej przez rzekę. Trzeba było Berbekę trochę dźwigać, bo

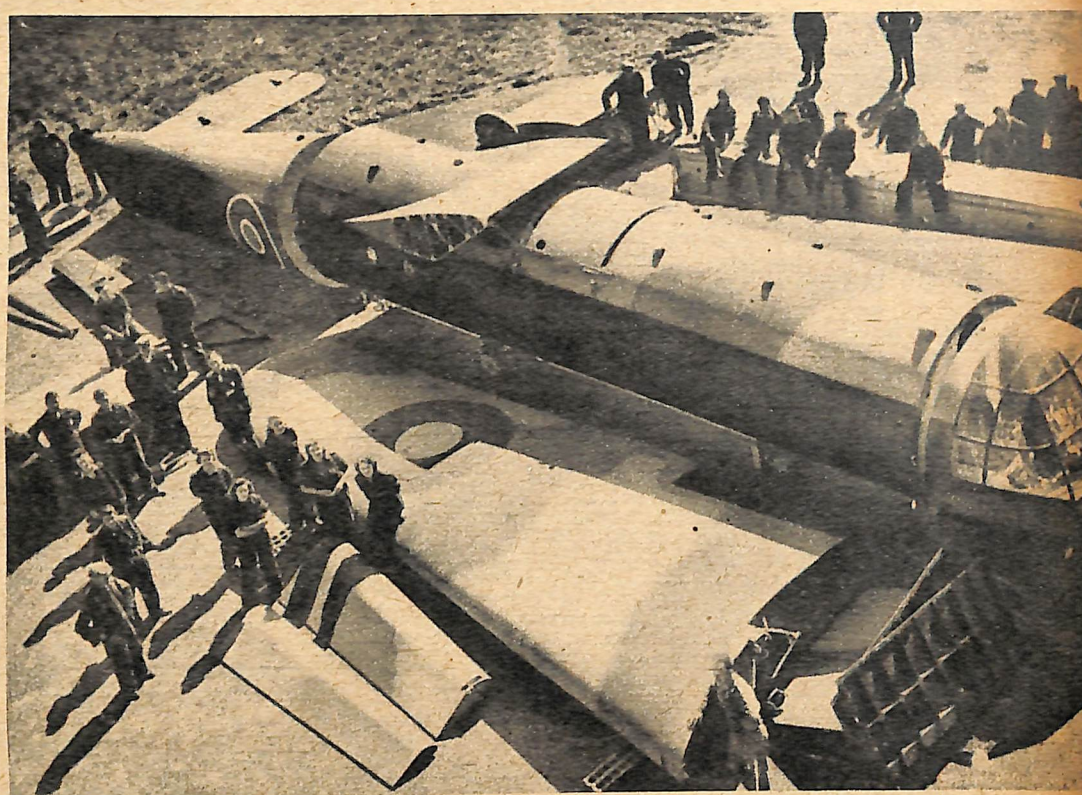
sam nie mógł iść. Sam to może przeszedłbym i przez minę pczołg, ale we dwójkę ciężar całkiem przepisowy i prawidłowo polecimy do nieba. Trochę się bałem, ale jakoś przeszliśmy i szef cały wrócił i więcej już nie pchali naszych karioków na tę przeklętą drogę. W karioku wszystko diabli wzięli. Plecak i odznakę tobrucką, ale teraz — tu Zbyszek chytrze się uśmiechnął — wszystkie rzeczy, które pogubiłem dawniej, muszą zapisać jako zniszczone wskutek działań. Teraz mam tylko to, co na sobie. Ej, co dałbym, żeby Tadzio żył...

Za chwilę Zbyszek jechał na carrierze, znowu — ku rzece.

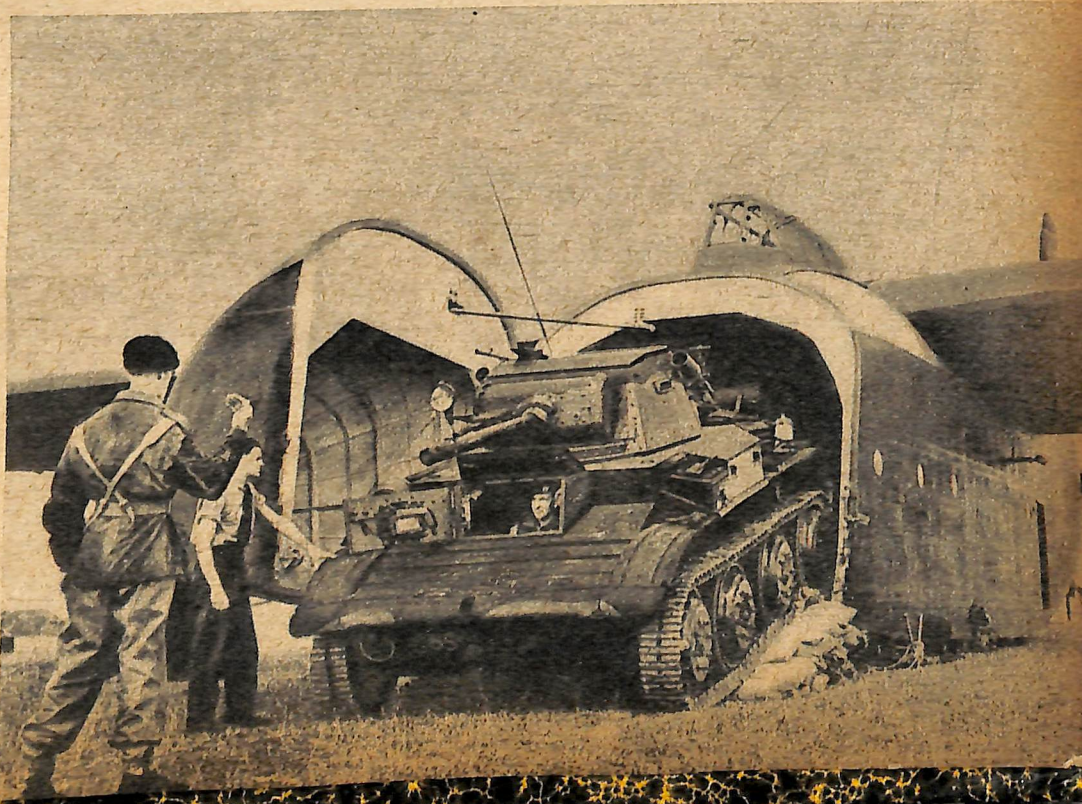
WŁADYSŁAW CHOMA

Szybowiec typu Horsa — posiada 88 stóp rozpiętości skrzydeł, a waży 7.000 funtów. Na zdjęciu: montowanie szybowca, który dla ułatwienia transportu rozkłada się na części

Szybowiec typu Hamilcar — z załadowanym ciężarowym samochodem. J. K. M. Król Jerzy VI w czasie inspekcji jednej z baz lotniczych

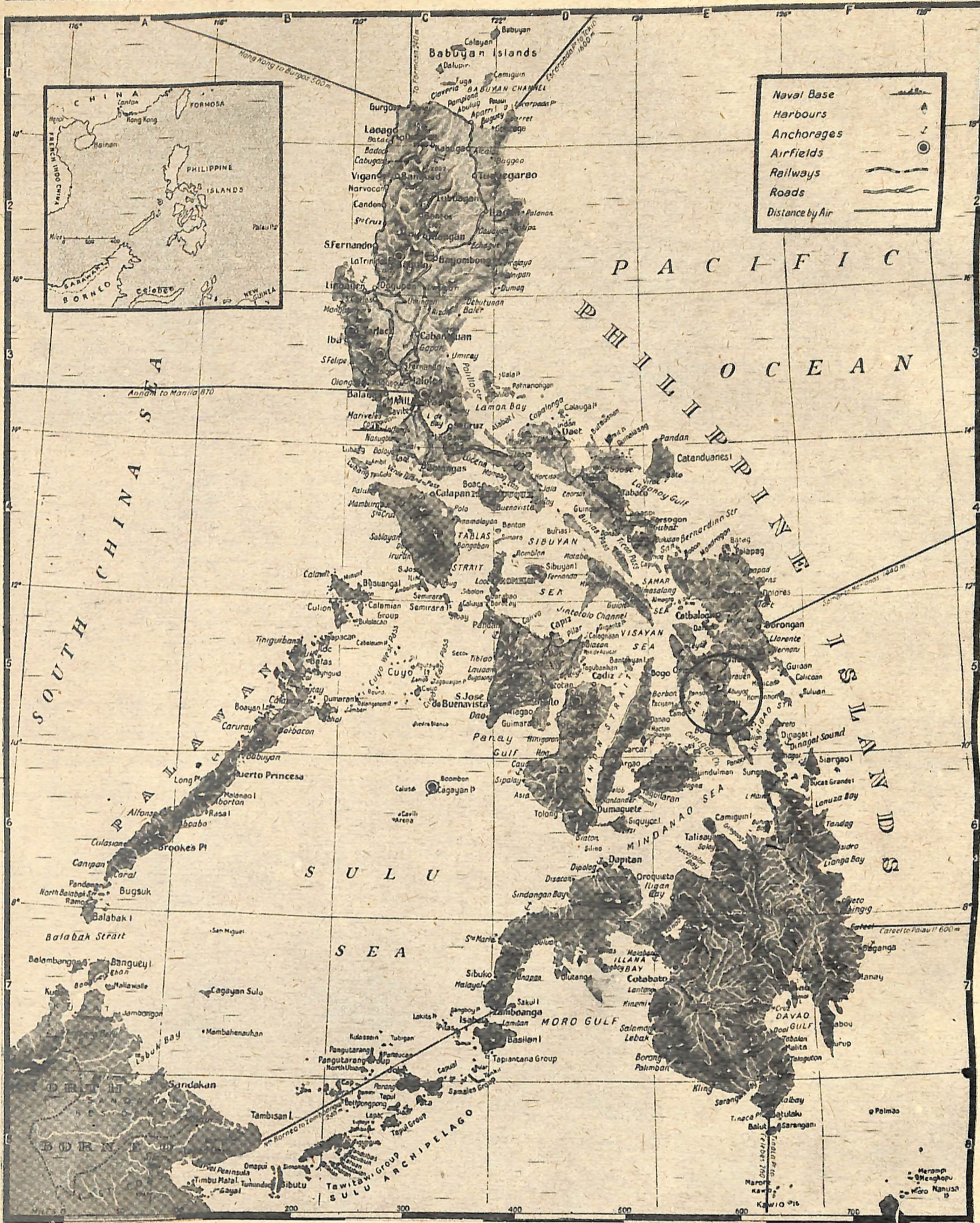


Czołg typu Tretowch (7 ton) — wraz ze specjalnym szybowcem służącym do jego transportu. Czołg i szybowiec stanowią całość



ODWET ZA PEARL HARBOR

U. S. OFFICE OF WAR INFORMATION — ARTYKUŁ NAPISANY SPECJALNIE DLA „PARADY”

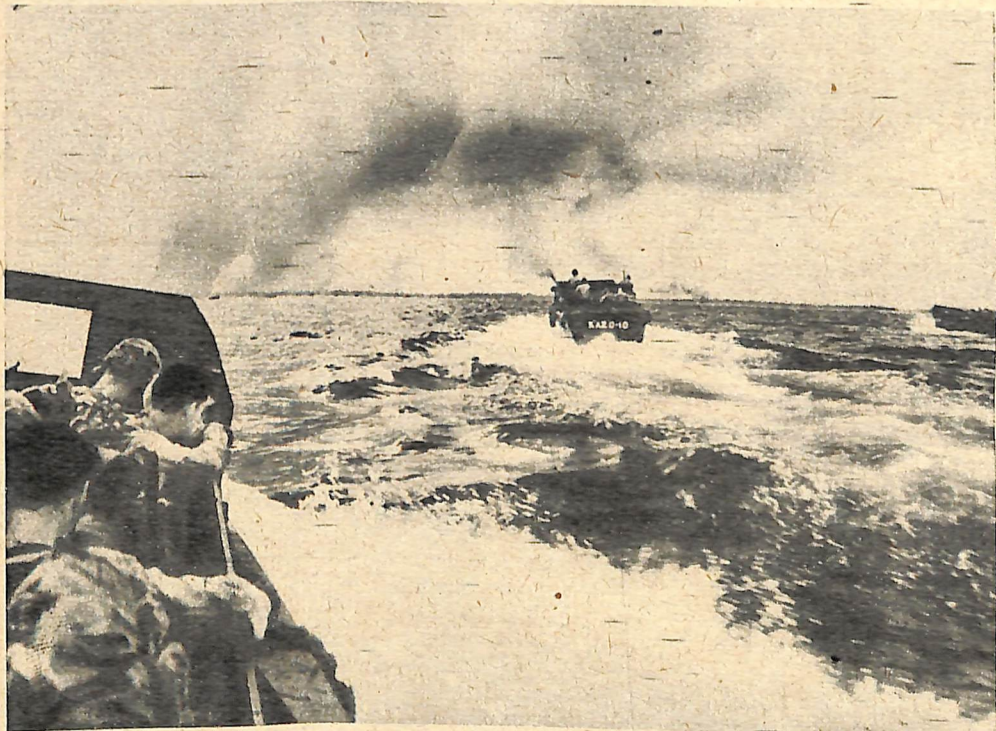


Ciężkie bombardowanie jest wstępem do inwazji

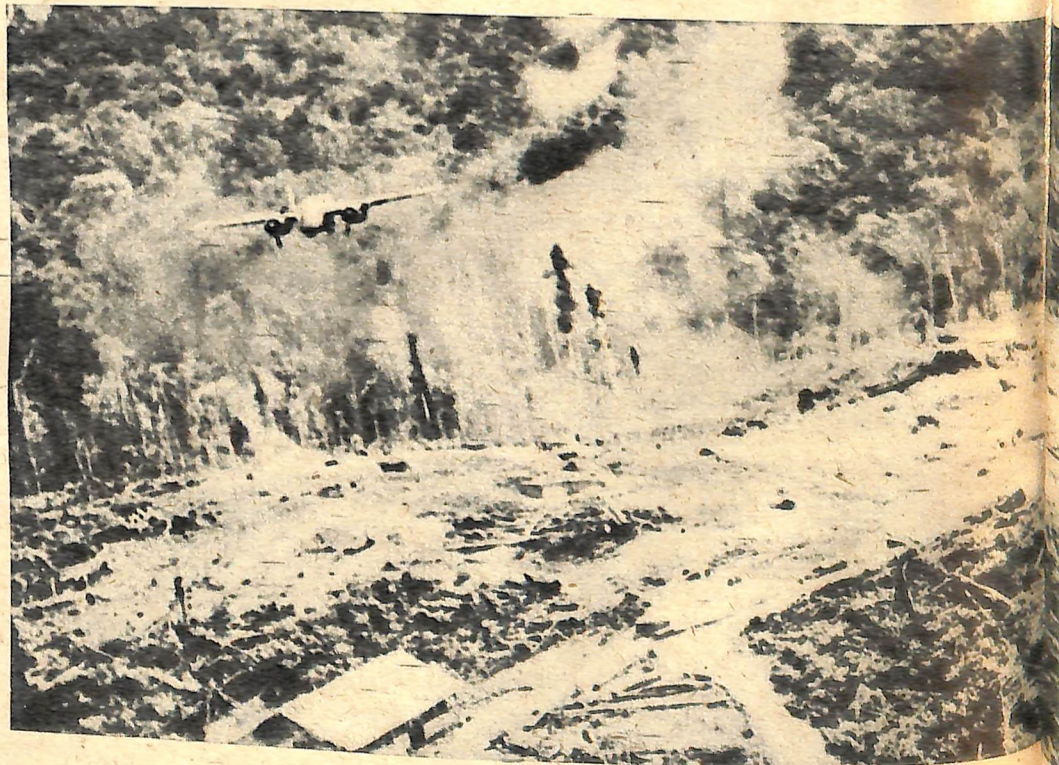
Japońskie składy paliwa na wyspie Boela zbombardowane przez lotnictwo U. S.



Czołgi-amfibie zbliżają się ku wybrzeżom wyspy Pelelin



Zbombardowane przez Amerykanów pozycje dział p-lot — w dżungli na jednej z wysp





Barki inwazyjne załadowane piechotą morską zbliżają się ku wybrzeżom Palau



Terenem walk jest podzwrotnikowa dziewicza dżungla



Amerykanci komandosi morscy pierwsi lądowali na wyspie Sajpan



Leyte, Główna Kwatera Generała Mac Artura, 23.X.1944

Już w pięć dni po wylądowaniu Amerykanie wyparli Japończyków z Palo, leżącego dwie i pół mili w głąb lądu, a będącego ostatnią twierdzą nieprzyjacielską u wschodnich wybrzeży wyspy Leyte. Uderzenie amerykańskie zmusza Japończyków do odwrotu w dżunglę. Artyleria, czołgi oraz roje samolotów, startujących z lotniskowców, torują drogę oddziałom amerykańskim. Jak dotąd opór japoński jest umiarkowany i nie zaznaczył się większymi kontratakami. Ta pomyślna ofensywa, dzięki szybkiemu opanowaniu lotnisk zamieni Leyte na bazę, która umożliwi uwolnienie reszty wysp filipińskich. Lądowanie na wyspie Leyte jest wzorem amfibialnych operacji, a dokonane zostało przez oddziały wyekwipowane wprost cudownie.

Filipiny, składające się z ponad 7.000 wysp, nabyte zostały przez Stany Zjednoczone w roku 1898 po wojnie hiszpańsko-amerykańskiej. Wyspy są górzyste, najwyższe szczyty dosięgają 10.000 stóp. Rzek jest mało, małych strumieni dużo. Klimat zmienny z licznymi deszczami i sucha pora roku. Pod uprawę rolną zajętych jest 12 procent obszaru, uprawia się ryż, kakao, konopie, cukier i zboże.

Od roku 1900 polityka amerykańska w stosunku do Filipin dążyła do zapewnienia ludności Filipin coraz większej autonomii. Japońska inwazja wysp rozpoczęła się 7 grudnia 1941, równocześnie atakiem na Hawaje. Amerykańsko-filipińskie siły zbrojne pod dowództwem generała Mac Arthura prowadziły opóźniającą akcję, wycofując się z Manili do Corregidor i Bataan. W kwietniu 1942 po bohaterkiej walce, kapitulowały wojska na Bataan, 6 maja poddała się dzielna załoga twierdzy Corregidor. Kiedy generał Mac Arthur przeniósł swą kwaterę do Australii, prezydent Filipin Luis Quezon, na zaproszenie prezydenta Roosevelta, udał się wraz ze swym rządem do Waszyngtonu. Opór Filipińczyków, który dał się we znaki Japończykom również podczas okupacji wysp, wywołał podziw narodu amerykańskiego. Parlament Stanów Zjednoczonych uchwalił rezolucje, które zatwierdzone przez prezydenta Roosevelta, zapewniają, że Filipiny uzyskają po wojnie całkowitą niepodległość. Dzisiaj rząd filipiński znajduje się już na wyspie Leyte i przejmuje oswobodzone części Filipin. W proklamacji, wydanej po wylądowaniu, gen. Mac Arthur, stwierdzając, że nie będzie żadnego „rządu wojskowego”, wzywa ludność do współpracy z ich legalnym konstytucyjnym rządem.

Obecne walki na wyspie Leyte są kulminacyjnym punktem 11-miesięcznej ofensywy, przeprowadzanej szybko i śmiało przez siły amerykańskie i sojusznicze. W tym okresie flota amerykańska przełamała japońską z obszarów 3.500 mil Pacyfiku, a wojska gen. Mac Arthura w cią-

gu 7 miesięcy zapewniły sobie kontrolę strefy 1.500 mil na Nowej Gwinei i na wyspach Molucca. To były pierwsze, większe przygotowania.

20 listopada ub. roku Amerykanie wylądowali na wyspach (Gilbert'a) Tarawa i Makin, zapewniając sobie po ciężkiej walce, bazy, z których możliwa jest ochrona ważnych linii zaopatrzenia, wiodących ze Stanów do Australii. W japońskim systemie obronnym Pacyfiku został tu dokonany pierwszy większy wyłom. Flota japońska nie przeciwdziałała.

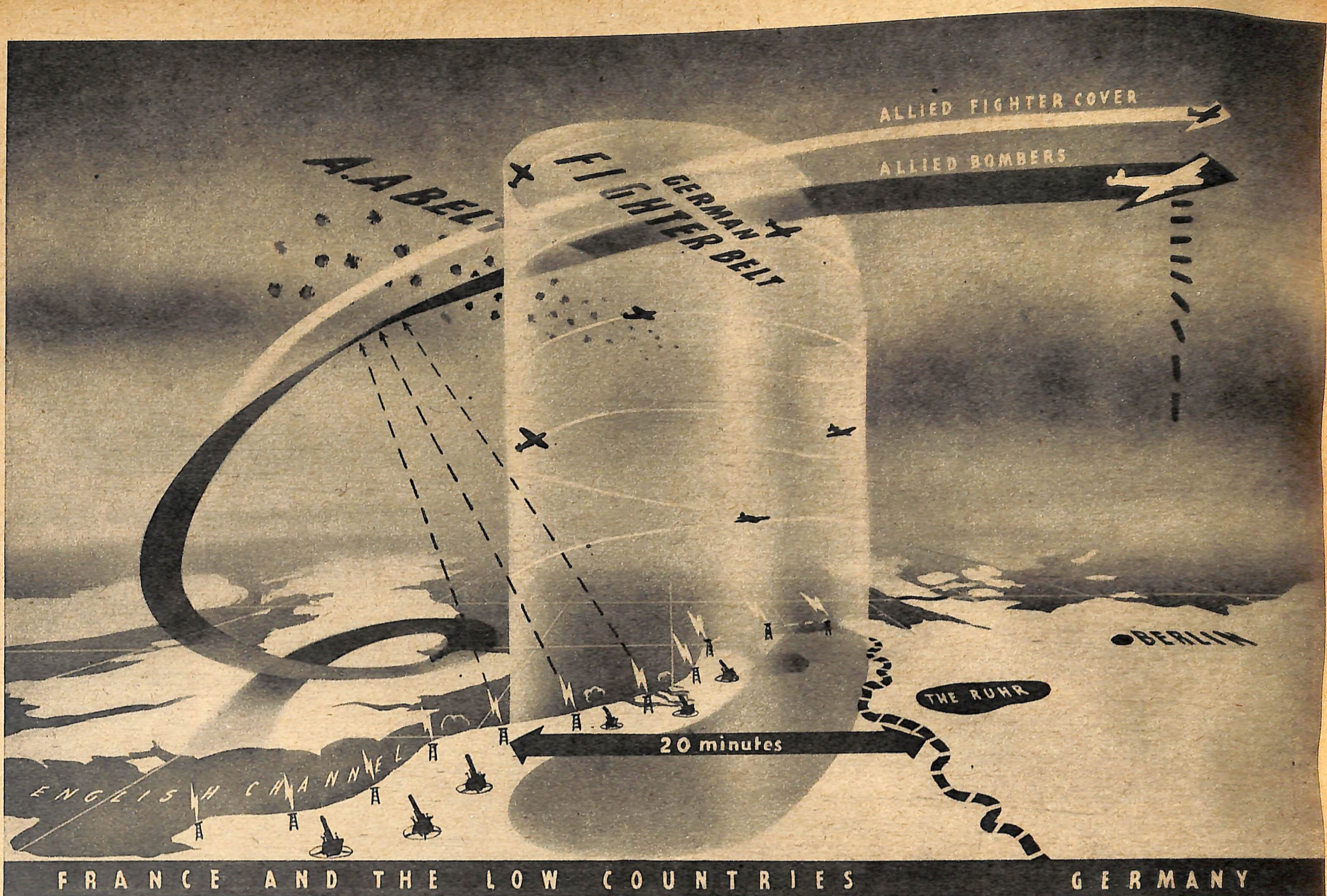
31 stycznia br. po raz pierwszy japońskie (przedwojenne) terytorium znalazło się pod ostrzałem dział amerykańskich: siły Stanów wylądowały na wyspach Marshalla. 22 lutego nastąpił dalszy krok naprzód, który zagroził całości obrony, jaką Japończycy przygotowywali w ciągu przeszło ćwierćwiecza. Zawładnięcie bowiem wyspami Kwajalein i Eniwetok (archipelag Atoll) dało amerykańskiemu lotnictwu bazy dla dalszej penetracji ku zachodowi. Teraz przyszła kolej na trójfobalną (powietrzno-morsko-lądową) operację ofensywną, zmierzającą już wyraźnie ku Filipinom. 22 kwietnia wojska gen. Mac Arthura zawładnęły — idąc wzdłuż wybrzeży Nowej Gwinei — wyspą Hollandia, największą bazą powietrzną Japończyków. Flota japońska i tu także okazała się bezsilną. W maju, 27, Amerykanie lądując na wyspie Biak, zakończyli praktycznie kampanię nowogwinejską. Stąd bowiem lotnictwo panuje nad resztą wyspy, jeszcze zajętej przez Japończyków, sięgając również do Indii Holenderskich.

Największą operacją amfibialną floty amerykańskiej było zdobycie, 4 czerwca, wyspy Sajpan w archipelagu południowomariańskim, wyspy, która położona 1.200 mil od najbliższej bazy amerykańskiej, oddalona jest od Tokio jedynie 1.500 mil. Zacięta obrona oraz interwencja floty japońskiej pozostały bez wyniku: 9 sierpnia Amerykanie opanowali już całkowicie wyspy Sajpan, Tinian i Guam. 14 września nastąpił dalszy cios, w ramach tego samego ciągłego planu. Wojska amerykańskie, które w dniu tym wylądowały na wyspach południowych Palau, zdobyły je po dwóch tygodniach krwawych walk, zapewniając sobie bazy, położone już tylko o 600 mil od Filipin. Opanowana w tym samym czasie wyspa Morotai stała się bazą, z której lotnictwo amerykańskie atakować może dowolnie południowe Filipiny, oddalone o 300 mil.

Jeszcze 36 dni przygotowań i wojska generała Mac Arthura wylądowały na wyspie Leyte. Próg Filipin został zdobyty w dwa i pół roku po kapitulacji Corregidoru.

Generał Mac Arthur, pierwszy obrońca Filipin, przyrzekł, że powróci i oswobodzi wyspy.

Generał dotrzymał obietnicy. W kilka godzin po pierwszym desancie wylądował i on na ziemi filipińskiej.



Przed inwazją Francji bombowce Sprzymierzonych musiały przelatywać nad „radiolokacyjną strefą alarmową” wroga. Miasta niemieckie miały cennych 20 minut czasu do przygotowania obrony przeciwlotniczej

Przełom w wojnie powietrznej

J. Murray Smith, lotniczy korespondent „Parade”

Operacje lotnicze na istotnie wielką skalę rozpoczęły się właściwie dopiero na wiosnę 1944 roku, by najwyższe nasilenie osiągnąć w październiku, w czasie bombardowania Ruhry. Najcięższe walki powietrzne tej wojny toczyły się również ostatnio nad Duisburgiem i nad Kolonią — jednym z najważniejszych ośrodków rezerw pierwszej linii frontu. Zwykły laik nie jest w stanie pojąć całokształtu wszystkich rodzajów broni powietrznych tym bardziej, że postęp w tej dziedzinie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy jest większy, niż w jakimkolwiek innym okresie historii rozwoju lotnictwa. Dziś różnica pomiędzy nalotami w pierwszym roku wojny, a w chwili obecnej jest mniej więcej taka, jak pomiędzy atakiem kawalerii w wojnie krymskiej, a współczesnym marszem przez Europę sojuszniczych wojsk pancernych.

Słowo: „nalot” w latach 1934—41 oznaczało błyskawiczny wypad nad terytorium nieprzyjaciela pędzących samolo-

tów, które zrzucały małą, zresztą, ilość bomb. Wypadki takie mogły być uwięzione powodzeniem jedynie wówczas, gdy polegały na niespodzianym i nagłym zaskoczeniu wroga. Natomiast dzisiaj słowo: „nalot” jest określeniem całodziennych nieraz operacji bombardujących: samolotów o zasięgu na całe terytorium nieprzyjaciela.

Do rozbicia potęgi Luftwaffe przyczyniły się bezpośrednio Lancaster, Halifaxy i Sterlingi, które stworzyły nowe możliwości dziennych bombardowań. Zmieniły one całkowicie obraz wojny powietrznej przez wytrzebiecie niemieckiego lotnictwa tak dalece, że gdy dawniej uzbrojone w karabiny maszynowe myśliwce mogły ruszyć do akcji jedynie pod osłoną nocy, dziś można przelecieć ponad Rzeszą tysiąc mil i nie dostrzec choćby pół tuzina myśliwców Luftwaffe. W niejednej załodze RAF'u są strzelcy, którzy w czasie licznych nalotów na Niemcy ani razu nie otworzyli ognia ze

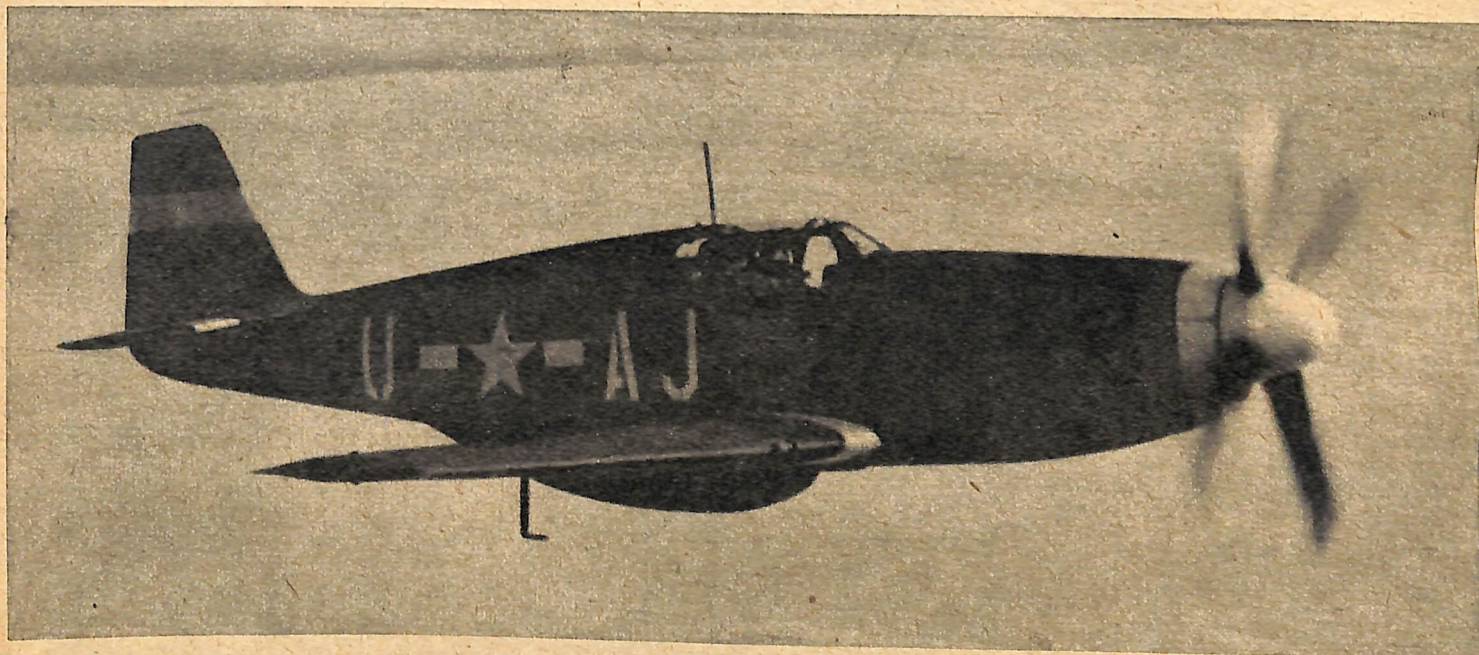
swych kmów, tak doszczętnie wróg został wymieciony z przestworzy.

Ciekawe, że jeszcze nie tak dawno pewien domorosły znawca wojny lotniczej wystąpił w prasie angielskiej z artykułem, w którym oświadczył, że ciężkie bombowce nigdy nie będą mogły być użyte w dzień. Napisał zaś to na kilka dni przed gigantycznym nalotem bombowców Sprzymierzonych na Europę o godzinie 11 przed południem.

Anglia i Ameryka stale udoskonalają swe lotnictwo, usprawniając wszelkie typy samolotów. Zasada konstrukcji myśliwców nie uległa jednak istotnej zmianie, a jedynie została ulepszona. Np.: wyposażenie Tajfunów w pociski rakietowe nie zmieniło ich dotychczasowego sposobu atakowania z niskiego pułapu, a tylko uczyniło je bardziej skutecznym. Doniedawna uważano jeszcze, że myśliwce krótkodystansowe, startujące z lotnisk nadbrzeżnych zawsze będą górowały

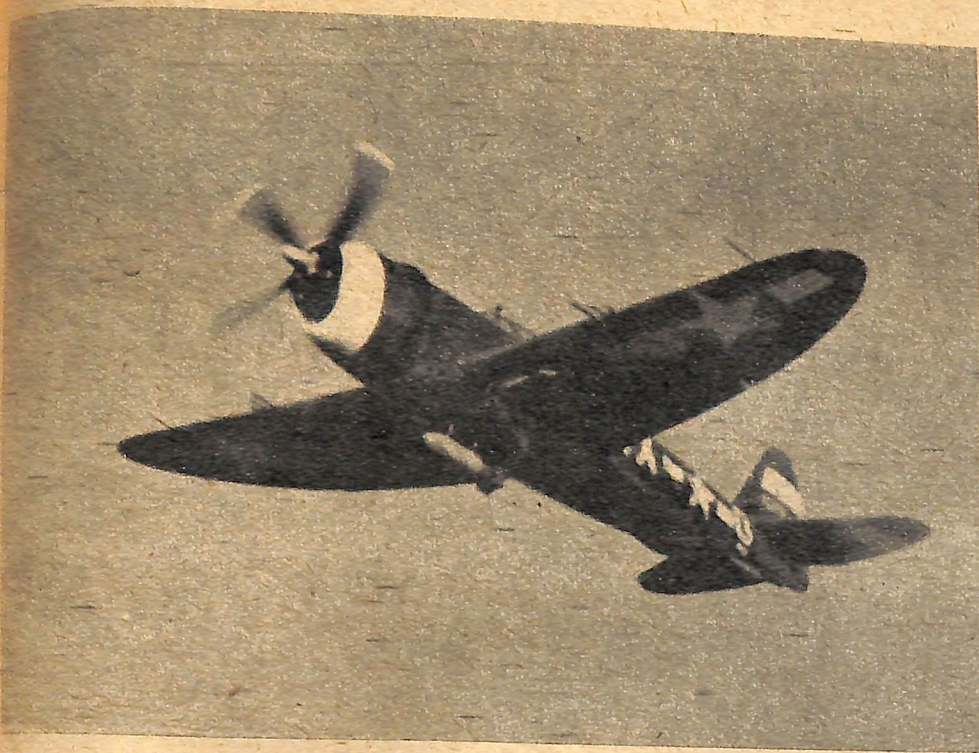
taktycznie i strategicznie. Pogląd ten okazał się błędny, lotniskowce bowiem i myśliwce długodystansowe zadały temu kłam, radykalnie zmieniając układ sił na Pacyfiku. Długodystansowe myśliwce, które mogą rozwinąć szybkość 400 mil na godzinę i osiągnąć pułap 40.000 stóp dokonały istnego przewrotu w wojnie lotniczej. Eskadry długodystansowych myśliwców nie tylko służą teraz jako eskorta bombowców, lecz przedsiębiorą własne wyprawy z Włoch do Rosji, wymiatając po drodze i zestrzeliwując nieprzyjacielskie samoloty. Bombardowanie poszczególnych obiektów nieprzyjaciela, takich np.: jak wieże z umieszczonymi na nich działami plot., stacje radiowe i radiolokacyjne, pociągi, magazyny itp., jest również jednym z zadań owych eskadr, a z przerozliwym wyciem nadlatujące niespodzianie nad miasto „Moskity” wywołują większą groźbę wśród mieszkańców, niżli niejednen wielki nalot nocny ciężkich bombowców.

Mustang rozwija szybkość 400 mil na godzinę i osiąga wysokość 40.000 stóp

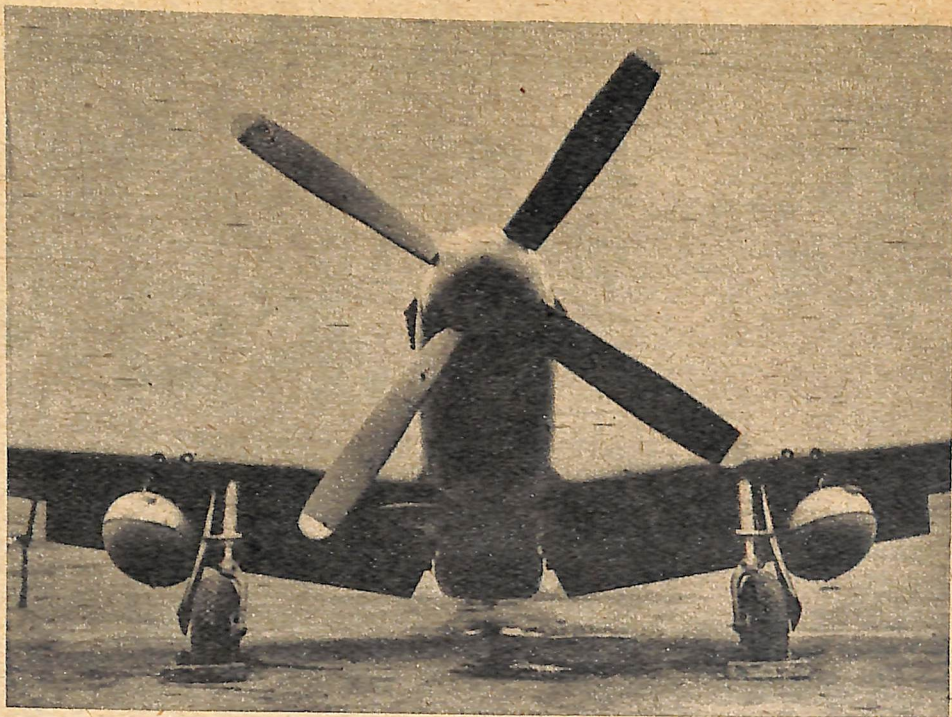


Produkcja długodystansowych Mustangów i Thunderboltów umożliwiła atakowanie zajętej przez Hitlera Europy z trzech stron: z Anglii, z Włoch i z Rosji. W ten sposób nad Rzeszą coraz bardziej zacieśnia się obęcz, która spycha Luftwaffe w głąb Niemiec. Samoloty niemieckie nie mogą bowiem pozostawać na lotniskach, nad którymi przelatują maszyny Sprzymierzonych, gdyż lotniska te stale są bombardowane. Jeśli zatem eskadry wroga nie przyjmą narzuconej bitwy, lub nie cofną się, zostają dziesiątkowane na własnych lotniskach.

Niedawna przeszłość wykazała, że wykrycie i zbombardowanie nieprzyjacielskiego stanowiska nie daje jeszcze zwycięstwa. Przekonali się o tym Niemcy nad Leningradem, a lotnictwo Sprzymierzonych otrzymało podobną naukę w czasie walk o Cassino. Bombardowanie pozycji wroga osiąga często odwrotny od zamierzonego skutek. Atakujące lotnictwo niszcąc drogi utrudnia nieraz posuwanie się naprzód własnym wojskom pancernym, a tym samym ułatwia obronę cofającemu się nieprzyjacielowi. Ruiny zniszczonych budynków mogą stać



Thunderbolt — ciężko uzbrojony używany jest także jako bombowiec



P-51 B — jest to jednomotorowy myśliwiec o największym zasięgu w tej klasie maszyn

się również świetnie zamaskowanymi gniazdami oporu, trudnymi do unieszkodliwienia, szczególnie wówczas, gdy obrońcy gotowi są wytrwać do ostatniego naboju.

Słuszność tego poglądu znalazła swe potwierdzenie w czasie bombardowania Cassino przez lotnictwo Sprzymierzonych. Bombardowanie było tak silne, iż zdawało się, w że tym piekle nikt z obrońców wkrótce nie pozostanie przy życiu. Tymczasem Niemcy przekopali pod ziemią tunele łączące miasto z klasztorem na górze. Tunelami tymi w czasie nalotów na klasztor, wycofywali się do miasta, skąd powracali na swe stanowiska, gdy bombardowanie ustawało. W tych warunkach wróg mógł wytrzymać każdy nalot i zawsze był gotów do walki.

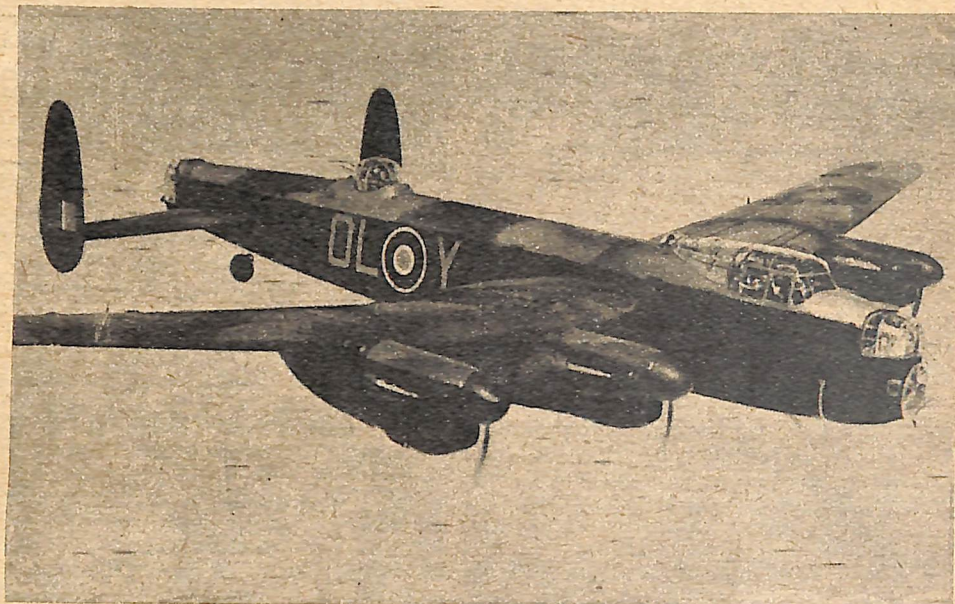
Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że najbardziej są skuteczne naloty na całe połacie kraju nieprzyjaciela. Przeciwnie. Nieraz bombardowanie poszczególnych, upatrzonych obiektów wywiera o wiele silniejszy skutek, niż zmieciecie z powierzchni ziemi całych miast wraz z rozbięciem dróg i urządzeń komunikacyjnych.

Jeden z brytyjskich dowódców skrzydła RAF'u, który zbombardował ze swego Moskita szereg ważnych obiektów w Hadze, wyrządził Niemcom więcej szkód, niż cała niemiecka flota nurkujących bombowców — Anglii w ciągu dwu poprzednich lat.

Sily powietrzne Sprzymierzonych skła-

dają się z najbardziej różnorodnych typów samolotów, z których każdy rodzaj przeznaczony jest do wykonywania innych zadań. Są więc maszyny niskiego i wysokiego pułapu, raketowe, długodystansowe myśliwce, bombowce torpedujące, szybkie średnie bombowce, przeznaczone do ataków dziennych, Moskity rozwijające zawrotną szybkość, samoloty przeznaczone do polowań na łodzie podwodne i latające fortece. Dziś już Niemcy, które w produkcji samolotów nie tylko nie mogą przewyższyć Sprzymierzonych, ale nawet im dorównać, nie są w stanie toczyć walk w powietrzu, a jedynie mogą atakować poszczególne obiekty.

Przewaga lotnicza Sprzymierzonych jest przytłaczająca i wróg wiedząc, że już nie jest zdolny do operacji na większą skalę, stara się walczyć bronią dywersyjną, by odnieść choć częściowy sukces. Niemieckie latające bomby wynalezione zostały jednak zbyt późno, by mogły odegrać decydującą rolę. W każdym bądź razie, wiążąc pokaźną liczbę samolotów Sprzymierzonych, opóźniają wykonanie planów operacyjnych RAF'u. Myśliwce brytyjskie bowiem miast dokonywać nalotów na terytorium wroga, muszą dniem i nocą strzec wybrzeży, odpędzając i zestrzeliwując owe latające roboty. Podobnie, tysiące ton bomb przeznaczonych uprzednio na Niemcy, musiały zostać zrzucane na wybrzeża Francji, gdzie znajdowały się bazy i wyrzutnie latających bomb, kierowanych na Anglię. Jeńcy niemieccy i niemiecka lud-

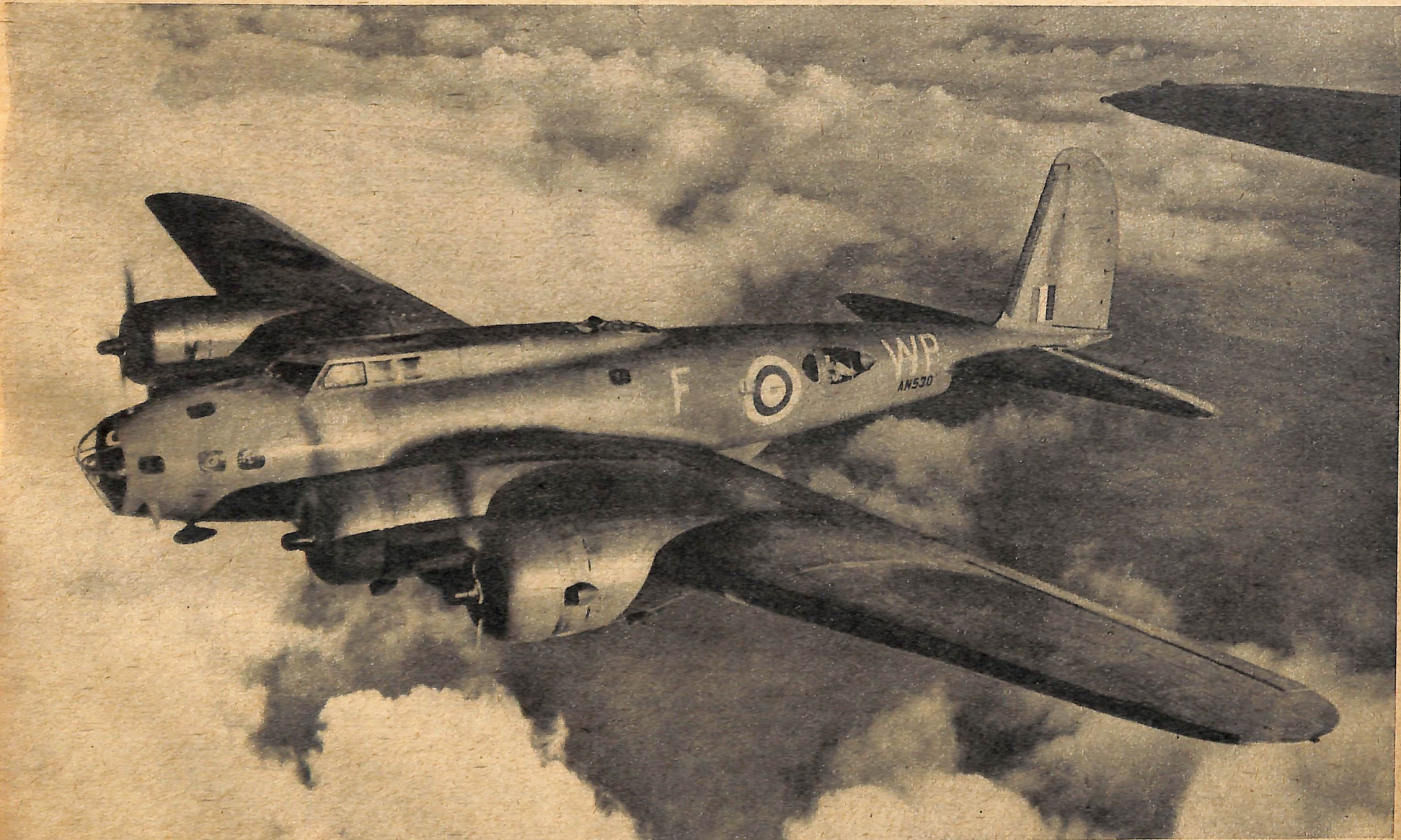


Jeden z najbardziej „zasłużonych” bombowców tej wojny — Lancaster

ność cywilna wierzą, iż Hitler posiada jeszcze inne rodzaje tajemniczych broni, które użyte w najbliższej przyszłości odwrócą sytuację na korzyść Niemiec. Wodzowie Trzeciej Rzeszy podtrzymują tę wiarę, gdyż pragną w ten sposób wzmocnić morale swego narodu. W Europie jednak nie ma już miejsca, gdzie wróg mógłby skryć się, lub bezpiecznie zakła-

dać magazyny, gromadzić wojsko, czy uruchamiać fabryki. Lotnictwo Sprzymierzonych dotrze wszędzie. Siedem tysięcy ciężkich bombowców sojuszników bez przerwy niszczy drogi kolejowe nieprzyjaciela i uniemożliwia komunikację morską, współpracując planowo z armiami lądowymi, wkraczającymi do Niemiec.

„Latająca forteca”



EUROPA „KOMPROMISU”

Nie jesteśmy sami. Jesteśmy jednym z narodów europejskich i nie tylko my stawiamy sobie pytanie: jak będzie wyglądał pokój?

Jeszcze nigdy nie było takiej sytuacji na kontynencie. Po upadku Niemiec Europa składać się będzie wyłącznie z małych, wyniszczonych, pobitych państw. Na scenie braknie dwóch mocarstw kontynentalnych: Francji i Niemiec. Wielkomocarstwo będzie udziałem jedynie potęg poza europejskich. Istnieje w tej chwili trzech wielkich partnerów: Anglia, Stany Zjednoczone i Rosja.

Cokolwiek by się mówiło, celem tej wojny w dalszym ciągu jest Europa. Europa jest kluczem do panowania nad światem, a w każdym razie nad całą wschodnią półkulą. Europa — to zarówno Kanał Angielski, Morze Śródziemne, jak Gibraltar i Suez, to zarówno porty atlantyckie jak i Bosfor. Kto zapanowałby nad Europą, będzie o krok od panowania nad światem.

Rozważmy wszelkie ewentualności. Przyjmijmy, że w stosunku do Europy przyjętą zostanie zasada „sfery wpływów”. Co oznaczałoby to w praktyce? Nie analizując takich, czy innych ewentualnych linii podziałów, stwierdzić należy, że realizacja zasady „sfery wpływów” byłaby osłabieniem Anglii, a wzmocnieniem Rosji. Dlaczego? Anglia — choć nie jest państwem kontynentalnym — jest mocarstwem europejskim. Ostatnie pięć lat tej wojny musiały o tym fakcie przekonać i najbardziej fanatycznych izolacjonistów. Europa silna, zjednoczona, nie pokrajana strefami wpływów jest naturalnym sojusznikiem Anglii. Europa pomniejszona, z granicami Azji na Wiśle, a może na Renie — jest dla Anglii tylko ciężarem i niebezpieczeństwem. Taka Europa „kompromisu”, słaba i okrojona — Anglii w niczym nie pomoże, lecz przeciwnie, sama od Londynu wyglądać będzie pomocy. Bezpieczeństwo Anglii wymaga systemu sojuszy kontynentalnych. Ta wojna potoczyłaby się prawdopodobnie inaczej, gdyby sojusznicy Anglii byli potężniejsi i lepiej zorganizowani.

Wojna ta od samego początku była w pewnym sensie „wojną przeciwko granicom”. Każda ze stron wojujących reprezentuje pewien program porządku europejskiego. Najbardziej zdefiniowanymi programami były program Hitlera, a po tej stronie barykada — Stalina. Świat anglosaski jest jeszcze ciągle w stadium poszukiwania rozwiązań problemu kontynentu.

Dzisiaj jest już pewnym anachronizmem mówić o europejskiej równowadze sił. W chwili obecnej gra idzie o rzecz znacznie większą — o światową równowagę sił. Gra toczy się o Europę. Jeżeli równowaga sił ma zostać ustabilizowana — co jest nieodzownym warunkiem pokoju — Europa musi pozostać nicyja — musi wrócić do swych właścicieli z lat 1939. Wojna ta bowiem podjęta została w celu odparcia zamachu Hitlera na Europę.

Gdyby w dniu zawieszenia broni inne mocarstwo znalazło się w Europie w tej pozycji, jaką swymi podbojami pragnął osiągnąć Hitler — trzebaby obiektywnie stwierdzić, że w dniu zawieszenia broni

wróciłibyśmy do punktu wyjściowego drugiej wojny światowej, innymi słowy stanelibyśmy na starcie trzeciej wojny światowej.

Nic się nie zmieniło w geopolitycznej sytuacji Wielkiej Brytanii. Nadal witalną będzie dla niej najkrótsza droga do Indji, wiodąca przez Gibraltar i Kanał Sueski, nadal granice strefy alarmowej sięgać będą Wisły — a rozwój techniki wojennej raczej granice te każe poszerzyć.

Sprawa jest jasna zarówno w swych imponderabiliach, jak i konsekwencjach. Jeżeli mamy uniknąć nieobliczalnych w skutkach przesunięć w światowej równowadze sił, jeżeli Imperium Brytyjskie ma pozostać nadal tym, czym jest, jeżeli sprawiedliwy pokój ma być owocem drugiej, a nie dopiero trzeciej wojny światowej — jest rzeczą konieczną wrócić do koncepcji Europy jako systemu państw niezależnych, nie mających nic wspólnego z formami protektoratów, którymi już Hitler pragnął uszczęśliwić kontynent.

Nie ulega wątpliwości, że Anglicy pragną szczerze odbudować Europę. W grę jednak wchodzi jeszcze interes Rosji. Istnieją tu poważne kolizje, które nie są dla nikogo tajemnicą. W nowojorskim „Collier'sie” ukazał się interesujący artykuł H. L. Matthews'a pt.: „Russia and The Mediterranean”, w którym autor zobrazował realny przekrój tych kolizji. Nie jest naszym celem w tym artykule analiza stosunków brytyjsko-rosyjskich. Ograniczamy się do stwierdzenia, że punkty przecięcia linii interesów brytyjskich i sowieckich ciągną się od Morza Śródziemnego, aż po Daleki Wschód.

Równowaga sił przyszłego porządku świata będzie się wyrażała proporcją: świat anglosaski — Rosja. Przyszłości i nadzieje współpracy tych potęg zależą bezpośrednio od formy „kompromisu” europejskiego. Innymi słowy zależą od tego, czy Anglia i Stany Zjednoczone odbudują wolną Europę i jakiego „stopnia” będzie owa wolność.

To, co się w tej chwili dzieje, jest szukaniem formuły politycznej „kompromisu” dla Europy, kompromisu, który byłby wypadkową polityk anglosaskiej i rosyjskiej. Do tej chwili klamka jeszcze w niczym nie zapadła.

Naszym zdaniem podobnie jak w polskiej sprawie, tak i w europejskiej kompromis nie może być osiągnięty. Europa nie jest pustynią, którą można bez zniszczenia jej charakteru i wartości — pociąć na działki, lecz przeciwnie jest całością, organizmem cywilizacyjnym i kulturalnym, który może żyć i rozwijać się tylko w określonych warunkach. Kompromis nie jest do osiągnięcia i z tej przy-

czyny, że wbrew temu co się mówi, wojna ta jest wojną ideologiczną i charakter ideologiczny konfliktu uwypukla się coraz silniej. Rosja jest państwem totalnym, reprezentującym inną kulturę i cywilizację, jest państwem, którego dynamizm wywodzi się z jej „misyjnego” imperializmu. Kompromis nie dotyczyłby tylko granic politycznych i celnych. Chodzi tu o granice kultury świata zachodniego i chrześcijaństwa. W tym wypadku cofnąć się na danym odcinku, znaczy wszystko na danym odcinku utracić.

Wracamy do głównej tezy tego artykułu. Dla Anglii Europa „kompromisu”, Europa przepełniona takimi, czy innymi liniami Człozona, Europa pomniejszona i zniekształcona byłaby tylko ciężarem i czynnikiem osłabiającym obronność Imperium Brytyjskiego. Dla narodów kontynentu Europa „kompromisu” byłaby „domem niewoli” — dla świata Europa „kompromisu” byłaby grobem przyszłego pokoju.

Właśnie dlatego, że Europa jest kluczem do panowania nad światem, kluczem nie może się znaleźć w nicyjowej Europie. Europa w przyszłym świecie musi być tym, czym jest Szwajcaria w Europie.

Wyparcie chrześcijańskiej kultury Zachodu z Europy byłoby kataklizmem dziejowym o konsekwencjach trudnych do ogarnięcia. Byłoby to upadek Zachodu i zmierzch wielkich narodów historycznych, które kładły cywilizacyjny fundament ery białego człowieka.

Byłoby śmieszne, gdybyśmy chcieli udzielać rad starej, doświadczonej Anglii. Dalecy jesteśmy od tego. W artykule tym pragnęliśmy jedynie wykazać, że charakter polityki sowieckiej z jednej strony i mechanizm politycznej instytucji Europy z drugiej — sprawiają, że nie tylko o polski „kompromis” idzie gra. Istnieje natomiast pewna „priority” kompromisów. Kolejność jest zależna od stopnia szerokości geograficznej. Polska ma niestety wysoką „priority”, bo jest bezpośrednim sąsiadem Związku Sowieckiego. Ale równocześnie z nami są państwa bałtyckie, Norwegia, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Jugosławia, Bałkany i wreszcie „zagadka” przyszłych Niemiec. A więc niemal cała Europa. Dzisiaj jest rzekomo kolej na polski „kompromis” — a jutro?

Klamka jeszcze nie zapadła. Gdyby jednak owa seria „kompromisów” została zrealizowana, dałaby ona w sumie Europę „kompromisu”. Nie byłaby to Europa filobrytyjska.

Był taki moment bezpośrednio po u-

padku Francji i po upadku Europy, że tylko Anglia stanowiła nadzieję zwycięstwa. Chyba nigdy w dziejach prestiżu Anglii i jej autorytet nie stał tak wysoko jak wówczas — choć Anglia była słabą, a w Londynie znoszono strzelby myśliwskie na obronę wyspy. Oczy wszystkich narodów Europy zwrócone były na Londyn. W tych dniach grozy, ale i chwały, Anglia jak nigdy była przywódcą całego zachodniego świata. Przez pięć lat wojny ludzie na kontynencie ryzykowali obóz koncentracyjny i śmierć, a jednak słuchali BBC z Londynu. Dzisiaj pod koniec tych straszliwych zmagani, dziś w tej osobiwej chwili grozących przemian, narody Europy oczekują, że Anglia nie zrzeknie się tak drogo okupionego przewodnictwa w świecie zachodnim.

Los Europy i los Anglii potoczyłby się inaczej, gdyby w poprzednich okresach istniała ściślejsza, niżli Liga Narodów, więź łącząca Wielką Brytanię z państwami kontynentu. Wydaje się, że ta wojna wykazała dobitnie konieczność znalezienia nowych form organizacyjnych międzynarodowej instytucji Europy. Na zdefiniowane formy federacjonalizmu rosyjskiego Anglia odpowiedzieć musi zrealizowaniem przebudowy instytucji Europy i odważnie podjąć przewodnictwo w świecie Zachodu.

W tym dziwnym plebiscycie, którego terenem jest dziś Europa — Anglia, jeżeli zechce, ma zapewnioną zdecydowaną przewagę. Narody Europy zaufały jej wówczas, gdy była niemal bezbronna, czyż miałyby nie ufać jej dziś, gdy Anglia jest tak potężna?

Cały sens tej wojny z punktu widzenia brytyjskiego wyraża się w stwierdzeniu, że Europa jest potrzebna Anglii. Silna Wielka Brytania jest potrzebna nieodwołnie Europie.

Wojna wciąż jeszcze trwa. Wszystko jest jeszcze w stadium operacyjnym i płynnym.

Przed kilku miesiącami w serii „Oxford Books” ukazał się pod auspicjami „Royal Institute of International Affairs” tom studiów politycznych W. M. Jordan'a. Znakomity autor angielski swą książkę poświęconą politycznym stosunkom Wielkiej Brytanii z kontynentem, kończy następującym zdaniem: „Anglia walczy dziś — jak walczyła wielokrotnie poprzednio — aby utrzymać na kontynencie Europy społeczność niepodległych narodów wolnych od brutalnej hegemonii jednego silnego mocarstwa”.

Jak długo Anglia jest Anglią, jej cele wojny nie mogą być inne.

Juliusz Mieroszewski

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

NOWA ARMIA NIEMIECKA

Znany londyński komentator wojenny, podpisujący się „Veritas”, był przez kilka tygodni na froncie w Belgii i Holandii. Z jego uwag nadesłanych stamtąd i przedrukowanych przez „WORLD PRESS REVIEW”, najciekawsze dotychczas oddziały niemieckie, z jakimi walczą obecnie sojusznicy. Veritas wyraża zdanie, że żołnierze niemieccy częściowo przyszli do siebie po demoralizacji w przegranej bitwie o Francję. Nowe dywizje składają się z resztek dawnych formacji z „Landwehry” oraz z najnowszych rekrutów, przystanych po 6 lub 8 tygodniach szkolenia.

„Te młodziaki i starszyzna walczą z początku twardo, ale ich niedoświadczenie w poruszaniu się i użyciu broni powoduje tak ciężkie straty, że demoralizuje to resztę, skłonną potem do kapitulacji przy pierwszej okazji. Zreorganizowane w pełni dywizje pojawiają się zapewne w wielkiej liczbie po pewnym czasie, ale przeważającą metodą obrony wydają się być jeszcze grupy bojowe, złożone z 600 do 700 żołnierzy. Zaczęły one swą rolę jako resztki, wyrzutki jednostek różnego rodzaju, a wyposażenie ich było także różnorodne, od dobrego do bardzo biednego. Te grupy bojowe stopniowo niewątpliwie nabierały lepszego poziomu, dzia-

łając bardziej skoordynowanie. W ogólności armia nieprzyjacielska liczbowo wrosło znacznie w miarę, jak rekruci „totalnej mobilizacji” przejdą przeszkolenie. Żywioty z SS są fanatycznie i biegle w walce. Nowozacięgni walczą dobrze, ale zatamują się pod ciśnieniem i techniką nowoczesnej wojny, zwłaszcza, że i u nich kadry dowódców znacznie się pogorszyły. Jest to armia całkowiec różna, w strukturze i charakterze, od wojsk walczących w Normandii. Dopoki toczy się będzie wojna stosunkowo statyczna i obronna, należy oczekiwać twardego oporu. Kiedy jednak sojusznicy wyrugują wojska niemieckie z linii obronnych Renu, nie będą oni zdolni do nagłej giętkości, wytrzymałości i spoistości, do tego wszystkiego, czego od armii wymaga nowoczesna wojna ruchoma”.

ZAPŁATA ZA KURCZAKA

Na łamach „THE AMERICAN MAGAZINE” pułkownik Poletti, były gubernator Nowego Jorku, późniejszy komisarz międzysojusznicznego zarządu wojskowego we Włoszech, kolejno na Sycylii, w Neapolu i w Rzymie, dzieli się swymi spostrzeżeniami, dotyczącymi „wymiatania po dyktatorach”. Jeden zwłaszcza fakt jest szczególnie zabawny, ilustrując poza tym także zau-

fanie ludności włoskiej do sojusznicznych władz wojskowych. Oficer sojusznicy ujechał do miasteczka niemal na karkach uciekających Niemców...

Przemówił krótko do mieszkańców, wzywając ich do współpracy i zapewniając, że „Amgot” (sojuszniczny zarząd wojskowy), uczyni wszystko, aby miasteczko postawił znów na dawnej stopie. Kiedy skończył, wysunęła się stara kobiecina i podała mu kartkę papieru. Oczekiwała go już — powiedziała. Czy mógłby coś dla niej zrobić?

Oficer spojrzął na papier. I przeczytał: „Odebrałem jednego kurczaka, zapłatę uiszc Amgot. Podpis: Hans Busch, Oberleutnant, H. Goering Division”.

Amgot zapłacił!

NIEMIECKIE BARANKI

Ogłoszone ostatnio projekty na temat przyszłości powojennej Niemiec rozprętały burzę protestów w prasie niemieckiej, wychodzącej w Stanach Zjednoczonych. W związku z tym prasa ta dyskutuje sprawę winy za wywołanie obecnej wojny, przedstawiając naród niemiecki jako gromadę niewinnych baranków, których tylko Hitler — „siłą zmusił do wojny”. Jako dowody Niemcy amerykańscy przytaczają „entuzjastyczne” demonstracje na rzecz Chamberlaina w okresie Monachium oraz ostatnią czystkę, przeprowadzoną w Trzeciej Rzeszy. Pewnej jednak obrony doznaje i sam Hitler, „WANDERER”

stwierdza bowiem, że i Hitlera „trochę obciąża odpowiedzialność za wojnę”.

ŹRÓDŁO NIENAWIŚCI

Niemiecko-amerykańska „NEUE VOLKSZEITUNG” zamieściła artykuł, w którym zapewnia, że miliony cudzoziemskich robotników, pracujących w Rzeszy, mają na pewno wspólne z narodem niemieckim poczucie uczciwej służby dla wspólnej sprawy. Słyszą bowiem — płacz matek niemieckich, których synowie zostali zabici, widzą żołnierzy z amputowanymi nogami, pomagają w grzaniu ofiar nalożonych sojusznicych... „Te miliony po powrocie do domu wpytną głęboko na opinię w swych krajach i mogą nawet zdecydować o wyniku przyszłych wyborów. Będzie to najlepiej poinformowana część ludności, która może ocenić Europę. Po latach bowiem wspólnego z narodem niemieckim cierpienia, tych 6-7 milionów będzie dążyło do współpracy z Niemcami, aby zapobiec nowej wojnie po 20 latach”.

Byłoby to bardzo zabawny rekord „humoru” niemieckiego, gdyby nie dotyczył szczególnie ponurej sprawy masowego niewolnictwa, zaprowadzonego w Europie przez „naród panów”.

Niemcy amerykańscy się mylą! Te miliony, o których piszą, będą źródłem największej właśnie nienawiści do Niemców, nienawiści, przekazywanej dalszym pokoleniom. (t)

WITAMINY NA USŁUGACH LUDZKOŚCI

Artykuł niniejszy został przestany za pośrednictwem dra J. Boruckiego (Oxford, University Museum), a napisany przez Charlotte M. Wood, która pracuje od kilku lat nad badaniem witamin. Autorka jest Szkotką, która ma szczególne sympatie dla Polski, nauczyła się języka polskiego i z wielką gotowością przyjęła zaproszenie „Parady” do napisania specjalnego artykułu.

Zacznijmy wprost od sedna rzeczy. Proszek, który widzimy na fotografii jest witaminą; druga ilustracja pokazuje, co by się tobie stało czytelniku, gdybyś w pokarmie nie miał odrobiny tego proszku o prozajicznej nazwie „witamina C”. Okazy schorzenia spowodowane jej brakiem przedstawiają pierwsze objawy szkorbutu.

Dużo się teraz mówi o witaminach, zwyktemu śmiertelnikowi wydawać się to musi skomplikowane i oszołamiające. A więc mówią nam, że trzeba spożywać „witaminę C”, aby mieć zdrowe zęby, inni podkreślają, że witamina D jest ważną dla tworzenia kości, witamina A jest konieczna dla wzroku itd. Niejeden z nas zapyta, jakże to nasi ojcowie żyli, mieli zdrowe zęby, kości i oczy, nie wiedząc nawet o istnieniu witamin. Odpowiemy na te wątpliwości.

Schorzenia ludzkiego ciała z powodu braku witamin znane są tak dawno, jak samo istnienie człowieka. W ciągu ostatnich dziesięcioleci odkryto na szkieletach prehistorycznych wyraźne oznaki tzw. choroby angielskiej i szkorbutu, niewątpliwie spowodowane nieodpowiednim pożywieniem. W zapiskach lekarskich z czasów Egiptu, Grecji i Rzymu zachowały się wzmianki o chorobach, które znamy dzisiaj jako „beri-beri” (brak witaminy B), niedowidzenie nocne, spowodowane niedostatkami witaminy A. Dla nielicznych z tych niedomagań znano różne środki. Grecy i arabscy lekarze polecali spożywanie koziej wątroby dla poprawy widzenia w nocy. W Piśmie Świętym wspomniano, że ślepy Tobiasz leczył się za pomocą żółci rybiej, co wskazuje na znajomość rzeczy. Dopiero jednak w czasach nowszych rozszerzono krąg doświadczeń. W połowie 16 i 17 w. w marynarce holenderskiej rozdawano pomarańcze jako środek na szkorbut. Widocznie jednak wiadomości te nie przeniknęły daleko, gdyż w następnym stuleciu lekarz angielski Lind opisał w roku 1757 leczenie tej samej choroby za pomocą soku cytrynowego. Pewne zalecenia były znane ogólnikowo już od dawna, więc np.: że chorobę angielską winno się leczyć przez nasłonecznianie, spożywanie jaj i rybiej wątroby. Pierwsze jakoby naukowe spostrzeżenie przypada na rok 1882, gdy Japończyk Takaki odkrył, że objawy choroby „beri-beri” mogą być skutecznie powstrzymane przez zmiany pokarmu. Ogólnie jednak sądzono w Europie do końca zeszłego stulecia, że człowiek może się wyżywić wystarczająco za pomocą węglowodanów, tłuszczów, białka, soli mineralnych i wody.

Ala sprawa nie jest tak prosta. Nowy rozdział w badaniach nad składnikami pokarmu rozpoczął się w związku z przemianą stosunków społecznych w drugiej połowie 19 wieku w Anglii, gdzie z powstaniem przemysłu maszynowego nastąpiła przemiana struktury gospodarczej. Wyśitek tworczy przeniósł się z roli do miast przemysłowych i do ośrodków górniczych. Rolnictwo angielskie zaczęło upadać i nie mogło już dostarczyć potrzebnych środków spożywczych, które stały się droższe i mniej obfite. Pokarm sprowadzany z różnych, często dalekich stron, trzeba było transportować w sta-

nie suchym lub chemicznie zakonserwowanym, względnie w puszkach, ażeby uniknąć zepsucia. Wiadomo dalej, że przetwory mączne trzymają się lepiej bez łuski i załazka, a oba zawierają tłuszcz, witaminy i sole mineralne. Aby uchronić mąkę od zepsucia, młyny nowoczesne, które wyparły dawne kamienne, oddzielają łuskę i załazek, dając jako produkt czystą, białą mączkę, ubogą w bardzo ważne substancje.

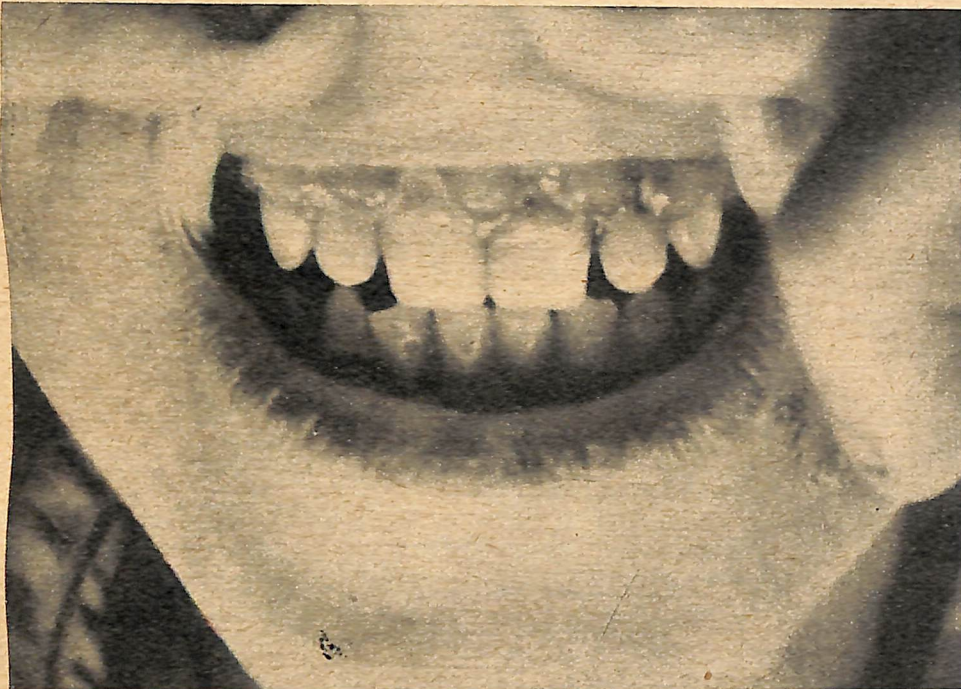
Dalej, odkrycia w dziedzinie bakteriologii i chorób infekcyjnych spowodowały, że ludzie poczęli unikać pokarmów surowych i owoców. Odkryto też proces zstalenia płynnych tłuszczów roślinnych i zwierzęcych i to doprowadziło do fabrykacji taniej margaryny zamiast naturalnego masła. Równocześnie na kontynencie rozwinął się silnie przemysł cukrowniczy, przez co cukier i syrop stały się tańsze i dostępne szerokim ma-

żyć chorobę żywiąc pełnym ziarnem ryżowym, miast łuskanego. Zatem w łuskach i załazku ziarna muszą być substancje, bez których występuje choroba.

W roku 1912 dr Kazimierz Funk z Warszawy, pracujący w Bazylei, zajął się tymi dodatkowymi czynnikami pokarmowymi i zaproponował dla nich nazwę „Vitamine”, chcąc wyrazić w nazwie, że są one potrzebne dla życia i że prawdopodobnie mają strukturę chemiczną tzw. aminów. Na podstawie swoich studiów odróżnił on kilka witamin, jedną związaną z chorobą „beri-beri”, drugą ze szkorbutem, a jeszcze inną z chorobą angielską. Jego praca zakończyła pierwszy okres historii tych badań. Uznano już istnienie witamin.

Zacząła się druga faza badania, w której różne witaminy zostały wyizolowane, tzn. wytworzone w stanie czystym przez różne procesy chemiczne. Zbadano ich skład i w niektórych wypadkach osiągnięto ich syntezę chemiczną. Droga długich doświadczeń na zwierzętach ustalono, jakie witaminy występują w różnych pokarmach, jak objawia się ich brak w różnych warunkach diety. W ciągu tego okresu ustalono następujące witaminy:

- A — brak jej powoduje niedowidzenie nocne;
- B₁ — przeciwdziała „beri-beri”;
- B₂ — ważna dla normalnego wzrostu;
- C — anti-skorbutowa;



Skutki braku witaminy C

som. Takie zmiany powoli wciskały się do życia nowych uprzemysłowionych społeczeństw. Przeciętny osobnik nie zdawał sobie sprawy z tych zmian i był zadowolony, ponieważ nowe pokarmy były tanie i zawierały dużo białego chleba, cukru, herbaty i puszkowych przetworów owocowych. Skutki objawiły się pod koniec 19 wieku w postaci chorób i niedomagań. Okazało się, że człowiek cywilizowany nie ma już tego instynktu wrodzonego, jak zwierzęta, które potrafią tak dobrać swój pokarm, aby zachować zdrowie.

Nic dziwnego, że nauka wzięła rzecz w swe ręce. Badania prowadzone nad zwierzętami wykazały, że myszy karmione na diecie, złożonej wyłącznie z węglowodanów, białka, tłuszczów i soli mineralnych, chorują i giną. Świeże mleko poprawiło stan niektórych zwierząt doświadczalnych, musi więc zawierać coś niezbędnego dla normalnego życia.

Głośny był wybuch choroby „beri-beri” w japońskiej marynarce. Choroba objawia się postępowo jako ból nerwowy, sztywność, paraliż, w końcu następuje śmierć. Wypadków śmiertelnych było tysiące. Wspomniany lekarz Takaki wpadł na pomysł rozdawania na jednym z okrętów poza ryżem łuskanym dodatkowych dawek mleka, mięsa i jarzyn. Miało to pomyślny skutek.

Inny badacz Eijkman, Holender żyjący w Indiach Holenderskich, odkrył, że kury żywiące odpadkami z kuchni więziennej, wykazywały objawy „beri-beri”, podobnie jak więźniowie. Eksperymentował nad tym i w końcu znalazł, że można wyle-

roby były wyraźne i ściśle określone przez brak jednej witaminy. Obecnie w praktyce zdarza się to rzadko w naszym pokarmie codziennym, natomiast bardzo często jest ubóstwo kilku z nich. W tym wypadku objawy niedomogi są mniej ostre i raczej ogólnej natury. Osobniki takie wykazują niezdrowy wygląd skóry, zmniejszoną odporność na zarażenie, brak apetytu, apatię, brak skupienia, wolne gojenie się ran, przeczulenie dziąseł oraz próchnicę zębów.

Jako środek zaradczy na takie ogólne niedomagania uważa się obecnie dodawanie mieszaniny naukowo zestawionej, która zawiera witaminy i sole mineralne w ilościach odpowiednich, w formie pigułek, albo dodatkowo do pokarmu. Ten rodzaj dodatkowego uzupełnienia pokarmu ma wielkie znaczenie w okolicznościach szczególnych, np. tam, gdzie długie niedożywienie spowodowało ogólny spadek zdrowotności, więc w okupowanych krajach Europy. Już teraz rozdaje się w uwolnionej od wroga Francji takie dodatkowe uzupełnienie pokarmu, zawarte w czekoladzie, wzmocnionej witaminami A, B, C, D i wapnem. Można także dawać poszczególne witaminy w tych wypadkach, kiedy są one potrzebne. Metody te zastosowano np. w armii brytyjskiej w czasie obrony Tobruku. Wojska musiały żywić się pokarmem puszkowym oraz biskoptami, ale każdy żołnierz zaopatrzony był poza tym w małe pudełko zawierające białe tabletki witaminy C. Eksperyment ten udał się znakomicie i okazało się, że białe tabletki witaminowe odegrały w uodpornieniu żołnierzy nie mniejszą rolę, niż broń i amunicja w odparciu ataków niemieckich. Kiedy przyszła odsiecz, żołnierze Tobruku okazali się naogół zdrowi, podczas gdy w ostatniej wojnie wiele tysięcy żołnierzy w podobnych warunkach chorowało ciężko na szkorbut.

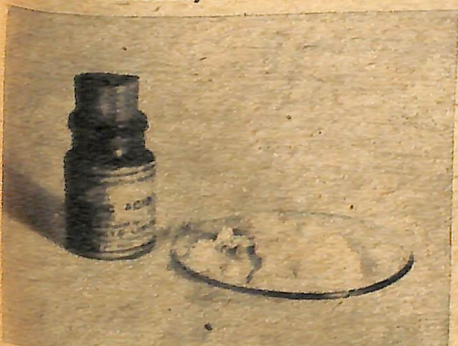
Jednakże syntetyczne witaminy i skoncentrowane pigułki soli mineralnych należy uważać za środki stosowane tylko przy pewnych okazjach. W normalnym życiu, gdy pokarm będzie znowu obfity i różnorodny, nie potrzeba się będzie uciekać do jedzenia pigułek i proszków. Tu raczej możemy polegać na dobrej strawie, umiejętnie gotowanej. Chleb z całego ziarna wypieczony, świeże jarzyny, mięso, ryby, jaja i ser, owoce, mleko i masło dają wszystkie potrzebne składniki. Gotowanie nie niszczy witamin z wyjątkiem witaminy C, która łatwo ginie w wysokich temperaturach i rozpuszcza się także w wodzie gotującej. Należy zatem jarzyny gotować w niewielkiej ilości i niezbyt długo. Rzeczą każdego inteligentnego człowieka jest myśleć o tych sprawach, a skoro już podział pracy tak wypadł, że naogół gotują kobiety, im właśnie przypada rola ważna, ażeby z dostępnych pokarmów zrobić jak najlepszy użytek.

Będzie to sprawa niezmiernie ważna w powojennej Polsce. Wiemy dobrze, jak strasznie źle ludność polska odżywia się pod okupacją niemiecką. Raporty z Polski mówią o niedożywieniu dzieci, o chorobach i niedomogach spowodowanych brakiem witamin, tłuszczów i białka. Trzeba będzie wielkiego wysiłku, ażeby zwalczyć pięć lat głodowania i niedostatku. Jednak z dzisiejszą znajomością nauki o pokarmach będzie można ułożyć wytyczne planu dożywiania doraźnego na okres przejściowy i politykę dożywiania na całe lata. W kraju tak rolniczym jak Polska szkody będzie można powetować, choć niestety straty są wielkie. Wierzę, że kraje związane sojuszem z Polską, przyjdą jej z pomocą.

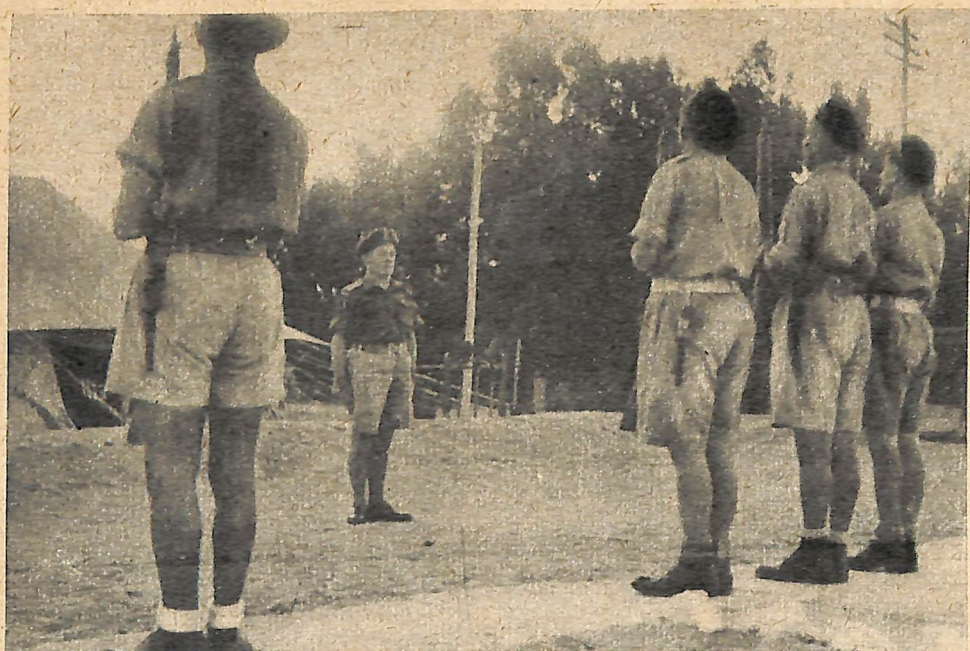
Autorka artykułu przy pracy



Kryształki witaminy C



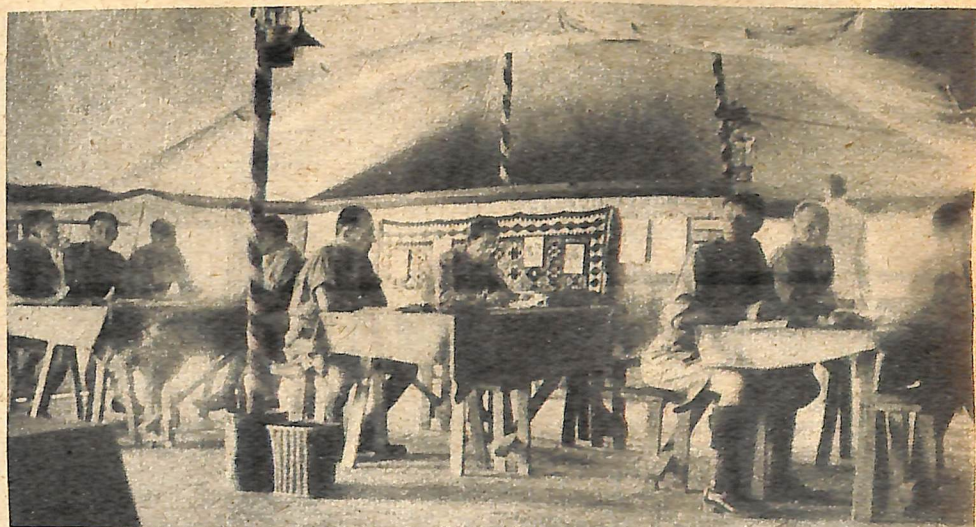
BAON SAPERÓW KOLEJOWYCH



Dowódca rozmawia z „kolejarzami”

„Warta pod broń”

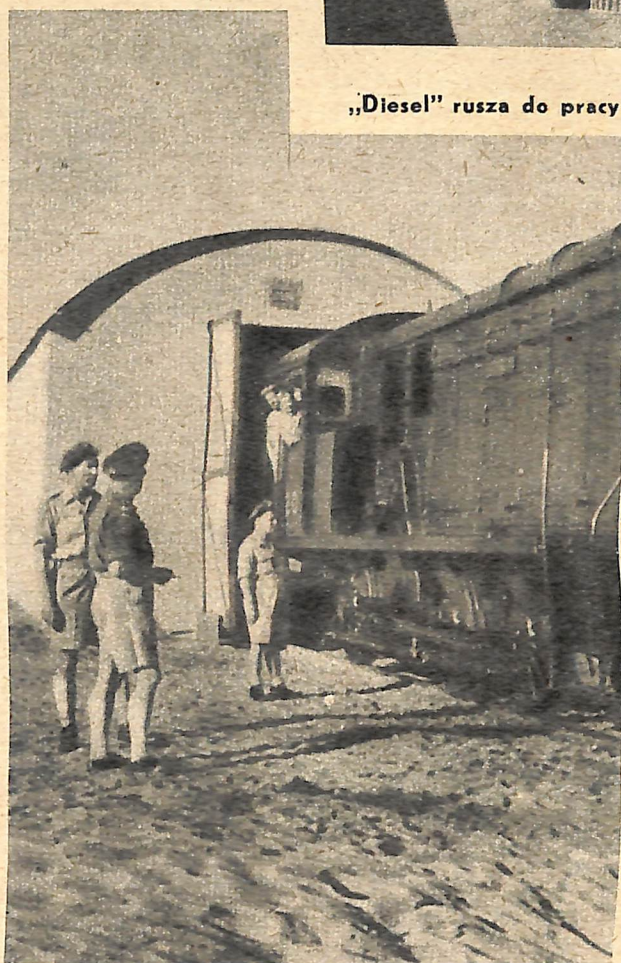
Gdzieś w Egipcie ma swoje „M. p.” Baon Saperów Kolejowych. Znaleźli się w nim dawni pracownicy PKP, którzy obecnie jako saperzy obsługują wojskowe stacje przeladunkowe i warsztaty reparacyjne. W warsztatach, gdzie pracują mechanicy, ślusarze, kowale, stolarze i cały szereg innych specjalistów, naprawia się statki obsługujące żeglugę wojskową na Nilu i Kanale Sueskim. Praca jest bardzo odpowiedzialna i ciężka, ale w lśniących czystością obozach nastrój jest radosny, a zastępnym odpoczynkiem są koncerty, książki i radio we wzorowo prowadzonych świetlicach, lub pogadanki w obozowej kawiarni i w kasynach. Zjęcia ilustrują fragmenty pracowitego życia saperów kolejowych.



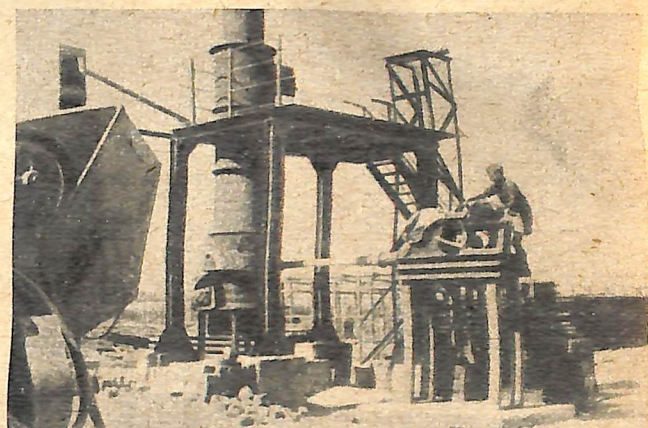
W świetlicy u saperów



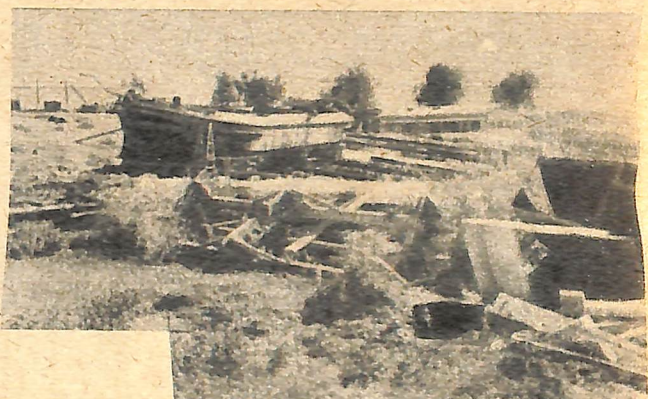
Przy naprawie statku



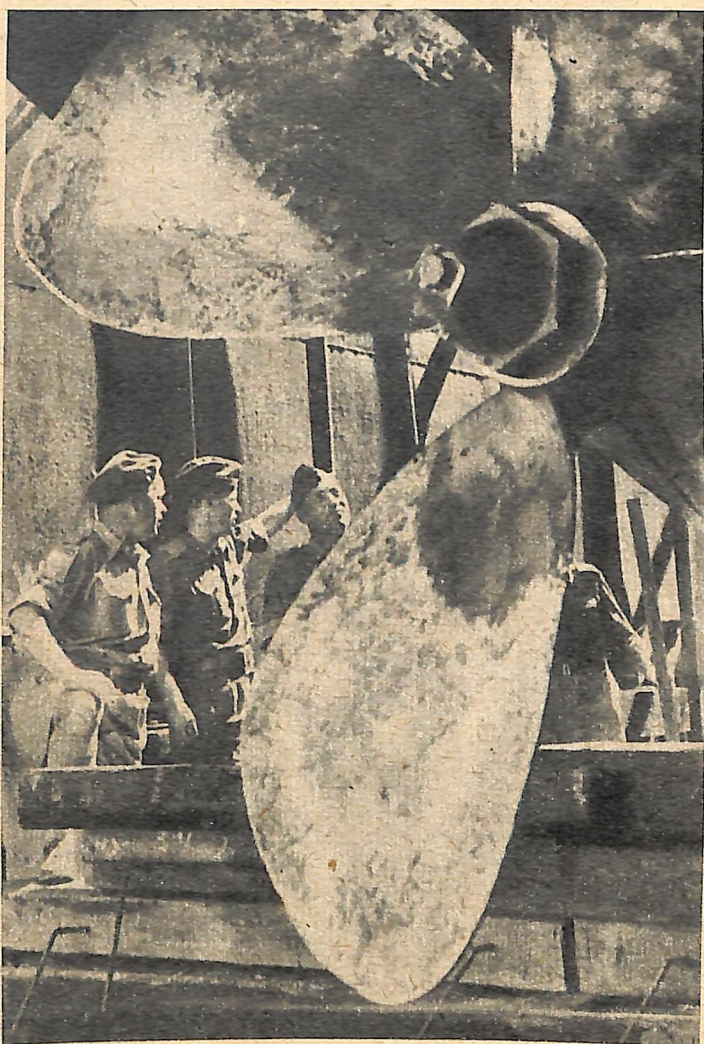
Chwila odpoczynku



Wybudowana przez saperów odlewnia



M. p. jednego z oddz. saperów: stocznia



Narada w czasie pracy

Str. 3, 4 i 5: fot. Wojsk. Sekc. Film.-
Fotogr.
Str. 6 i 7: fot. K. Hrymkiewicz, inż.
W. Ostrowski
Str. 7: fot. British Min. of Information
Str. 8 i 9: fot. U. S. Office of War Inf.
Str. 10 i 11: fot. „Parade”
Str. 14: fot. J. Młodnicki
Str. 15: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 16: fot. T. Szumański

Układ graficzny:

JERZY MŁODNICKI



1 Był sobie On...



2 ...i Ona

3 Bardzo młodzi oboje



5 Łapać kraby we dwoje

Na znaną nutę

4 Mieli chętkę maleńką





Zdobyczny koń